

Wspomnienia Piotra Obuch-Woszczatyńskiego

syna Waława i Wandy z d. Zubowskiej

(Napisano w czerwcu 1944 roku w Równem)

Wstęp i wprowadzenie.

Podparty kolumnami trzech staroświeckich ganków, obrosłych kapryfolium i dzikim winem, na górze wśród przepięknego parku, rozsiadł się dworek biały w Dużej Raczy, otoczony mnóstwem kwiatów i krzewów ozdobnych, poza którymi i od których, w rozmaitych kierunkach rozbiegały się aleje drzewami drzew znaczone, aleje grabowe, klonowe, kasztanowe, akacjowe i inne, a wszystkie one biegły w dwóch kierunkach; jedne do sadu owocowego, drugie do dzikiej części parku, nad parów zarosły leszczyną i innymi drzewami porastającymi jego zbocza, aż ku samej rzeczce, łąkom i polom odgradzającym dworek od traktu i od wsi tego, co i dworek miana. W tym dworku po raz pierwszy ujrzałem świat Boży; w nim spotkało mnie pierwsze, choć wtedy nierozumiane, lecz największe nieszczęście jakie może dziecko spotkać, gdyż w szóstym miesiącu życia straciłem matkę. Z dworkiem tym i jego najbliższym otoczeniem łączą się wspomnienia najpierwszych lat dzieciennych, lat w których kształtuje się dusza człowieka i dlatego choć wiele dziesiątków lat minęło, pamiętam go, jakbym był tam wczoraj. Pamiętam każdy kącik, każde drzewo, nie omal każde okno w inspektach lub grządkę w ogrodzie warzywnym. I jakże można zapomnieć aleję grabową, po której w trzecim roku życia w letnie, skwarne dni, gdy starsi byli zajęci pracą młodzież sama sobą, a moja wychowawczyni flirtem, ja sam sobie oddany z wielkim mozołem ciągnąłem wózek uzbrojony butelką pełną mleka nalanego przez p. Kalinowską, naszą klucznicę i Soską ciągnąłem swój drogocenny ładunek, aż do altany lipowej, gdzie siadałem pod lipą i oparłszy na kolanach podgiętych butelkę, zaczynałem wsysać słodki nektar, aż do ostatniej kropli, aż do uśnięcia, z którego budził mnie przeciągły głos wzywający na obiad lub podwieczorek, naszej długoletniej pokojówki i mej niańki, ogólnie zwanej „Rabą Paraską” ,która wiedziała gdzie mnie szukać i zawsze przyszła mi z pomocą ciągnąc mój wózek i niosąc mnie jednocześnie „na barana”. Czy można zapomnieć starą jabłoń antonówkę, której rozłożyste gałęzie podczas jednej z pierwszych lekcji konnej jazdy schwyciły mnie w swoje objęcia i jak dojrzałe jabłko cisnęły z klaczki zwanej Bundą na ziemię? Czy można zapomnieć przepyszną szczepioną czereśnię w rogu gaiku wiśniowego, w konarach której skryłem się przed dziadkiem i wierszem mi przez niego zadany, i na której musiałem spędzić kilka godzin, gdyż dziadek widząc mnie dobrze właśnie pod tą czereśnią wybrał sobie miejsce do czytania gazety? Czy można zapomnieć postać ”Rabej Paraski” , tego kolosa zeszpeconego ospą, obdarzoną sześciu palcami na każdej z rąk, od świtu do nocy szastającej się po dworku, wiecznie zapracowanej jednak zawsze mającej dla mnie czas i wiele, wiele serca? Czy można zapomnieć róg alei grabowej, gdzie z takim mozołem budowało się pierwszy, własny domek, a rzekę i staw i łaźienkę? Czy można zapomnieć pokójki dziecienny, proste lecz wygodne mebelki i ten przepiękny obrazek na ścianie: Matki Boskiej Częstochowskiej patrzącej z ram połączonych na dziecko niesforne, wzrokiem smutnym i łzawym, to znów takim dobrym i kochającym (gdy się zrobiło coś dobrego) wejrzeniem. Obraz jeden za drugim przesuwają się w mej pamięci, każdy z nich pozostawił po sobie jakąś rysę kształtując duszę przyszłego człowieka, a przeżycia z nim związane: radości, radości smutki, a nawet bóle dziecięce nie zatarły się w pamięci, nawet pod kosmatą ręką życia, uzbrojonego pazurami zaborców, bulbowców i innej drani; nie zatarły się w chaosie pożogi i krwi wojen. Ani też walka o byt i suchy nie raz kawałek chleba nie zdołałem wymazać z pamięci obrazków lat dzieciennych, a ta pamięć nie śpi zda się budząc „przyszłe” rodzi szaloną tęsknotę i woła zda się by nie dla kogoś, a dla siebie samego, dla swego ukochanego Wacka, jeszcze raz przeżyć te chwile zapisując ciekawsze w zeszycie. Może kiedyś przeczyta i coś nie coś wykorzysta dla siebie, by niepotrzebnych i złych rzeczy uniknąć, a z dobrych wziąć przykład, choć wiele tego nie będzie.

W upalny gorący dzień, gdy całe towarzystwo nie na balkonie, a w jadalnym pokoju zasiadło do posiłku obiadowego, ja jak zwykle siedziałem na szarym końcu ,obok swego niedostępnego anioła stróża bony, panny Tekli, która miała czuwać nad sposobem mego zachowania się, sposobem jedzenia, miała wychować mnie na panicza, lalę salonową, (a muszę przyznać, że to było bardzo trudne zadanie, zadanie którego nie tylko jej, ale i następczyniom rozwiązać się nie dało, chociaż tytułowano mnie paniczem prawie od kolebki). A mnie ciągnęło gdzie indziej: do pól, łąk i lasów, jak najdalej od salonów i tego wszystkiego, „co wypada”, a co „nie wypada”. Gdy pierwsze danie spożyto, długi i szeroki stół zaczął obiegać od osoby do osoby, zatrzymując się kolejno według wieku i płci przy każdej z nich; kopiasty półmisek z wewnętrznym ładunkiem kotletów i kaszy hreczanej. Obserwując z krańca przeciwległego stołu jak znika stopniowo jego ładunek cieszyłem się nadzieją, że może kasza hreczana w drodze stopnieje i do szarego końca nie dojdzie,(choć takich wypadków nie bywało) a to dlatego, że kaszy tej nie lubiłem. Niestety, gdy p. Tekla brała mój talerz, by dać mi należną porcję, przekonałem się, że kaszy jest jeszcze sporo. Nie było rady, zapomniałem ,że siedzę przy stole razem z dorosłymi, zapomniałem, że przy drugim jego krańcu siedzi Ojciec, który od czasu do czasu spogląda na swego ukochanego jedynaka i głośno poprosiłem swej wychowawczynie: Proszę panią tylko o kotlet, bo ja kaszy nie lubię , a jednocześnie z drugiego końca stołu jak echo usłyszałem głos Ojca: „Proszę pani, on je dzisiaj tylko kaszę” i momentalnie znikł kotlet z talerza, a pozostała jedynie kasza suto obłana sosem, dla osłody. Krew uderzyła mi twarzą. Jak to? Przecież grzecznie prosiłem o kotlet, a kazano jeść nielubianą kaszę. W pierwszej chwili chciałem rozbeczeć się, wstać od stołu i uciec do swojego pokoju, lecz momentalnie zmieniłem postanowienie, chcąc zmanifestować swą wolę, kaszę pozostawiłem nie tkniętą. Skończono drugie danie. Paraska zbiera talerze, chce i mój razem zabrać, lecz Ojciec każe pozostawić go na miejscu, a jednocześnie daje polecenie p. Tekli, żeby mnie przypilnowała i nie pozwoliła nic jeść zanim nie zjem swojej porcji kaszy. Tymczasem na stole zjawił się krem z ciastkami tak smacznie zjadanymi przez rodzeństwo. Opanowała mnie złość i żal, jednak własna ambicja dziecięca wzięła górę. Siedzę wyprostowany patrząc na zjadaczy kremu tak ,jak by jedli kaszę hreczaną, a gdy się skończył obiad podziękowałem bardzo grzecznie i układnie, chociaż faktycznie nie miałem za co dziękować. O godzinie 5-tej wszyscy dostali maliny na podwieczorek, a ja kaszę hreczaną, której nie tknąłem i z którą spotkałem się jeszcze raz tego samego dnia podczas kolacji i też nie tkniętą zabrali. Głodny jak pies lecz dumny ze swego uporu poszedłem spać, myśląc w duchu, że do jutra i Tatusi i p. Tekla zapomną o kaszy, a mnie najwyżej przyśnią się z głodu Cygani. Rano, bardzo rano wyskoczyłem z łóżka, szybko umyłem się, ubrałem i po modlitwie jak bomba wpadłem do jadalnego pokoju, zastając w nim Ojca przy porannym posiłku, p. Teklę i swoją porcję kaszy. Do stołu już nie siadłem, a na zapytanie Ojca czemu nie jem śniadania odpowiedziałem: dziękuję Tatusiu nie jestem głodny, tylko poczekam na p. Teklę, żeby się udać do codziennych zajęć. Ojciec odpowiedział mi „dobrze” i pojechał w pole, a ja i podczas drugiego śniadania do stołu nie siadałem. Lecz gdy przyszedł czas obiadu , a przede mną stanął znów talerz z kaszą, ze złością wziąłem łyżkę zamiast widelca, zjadłem kaszę do ostatniego ziarnka i wtedy, z bezczelną i wyzywającą miną zwróciłem się do swojej wychowawczynie z prośbą o jeszcze jedną porcję kaszy, na co mi Ojciec odpowiedział: „ teraz jesz to, co wszyscy” i zjadłem obiad od początku. Od tego czasu nigdy nie było potrawy takiej, której nie lubiłem. Jedna smakowała mniej, druga więcej, lecz jadłem każdą z jednakowym apetytem, wiedząc, że to co ludzie jedzą mogą też jeść i ja. Lecz dopiero gdy dorosłem, zrozumiałem jaką dał mi Ojciec szkołę i ile okazał w tym dobrego lecząc z choroby: „lubię i nie lubię” , a hreczana kasza pozostała dla mnie do dnia dzisiejszego moją ulubioną potrawą.

Od rana na lazurowym niebie zjawilo się słońko radosne, promieniste, tysiącem promieni obejmujące ziemię całą i wszystko cokolwiek się na niej znajduje. Powietrze przesycone zapachem lip i innych kwiatów. Twarze ludzkie wesole, roześmiane, a na duszy tak lekko, tak radośnie. Zda się całym swym jestestwem człowiek woła żyć, żyć i jeszcze raz żyć. Obiegłem wszystkie drogi i dróżki sadu naszego, aż nagle odczułem głód i wpadłem jak kula wyrzucona z procy do jadalnego pokoju na śniadanie, zastając tam Ojca w bardzo dobrym humorze, a to dlatego, że świetnie sprzyjała pogoda dobiegającej ku końcowi

kosowicy, a żniwa też zapowiadały się dobrze. Śniadanie zjadłem szybko i już znów się miałem wyrwać do ogrodu i sadu, gdy Ojciec zawołał mnie do siebie i zapytał, czy nie zabłądzę do sklepu z bakaliarnią i na pocztę po listy, gdyż wszyscy są zajęci kosowicą i zwózką siana, a też Mama ma braki w spiżarni więc mając siedem lat, mogę te sprawy załatwić. Powiedziałem Ojcu, że drogę znam i wrócę szybko. Zabrałem olbrzymią na mój wiek pocztową torbę skórzaną z listami, kartkę do sklepu i pieniądze. Osiodłano mi Bundę i i marsz, marsz w drogę, pierwszy raz tak daleko, bo do Radomyśla było osiem km. Spokojnym klusem przejechałem dziedziniec, drogę obok sadu, most, aż do traktu. Tam, gdy dworek, sad i zabudowania dworskie razem z wsią pozostały z tyłu, gdy ogarnęły mnie pola dojrzewającego, falującego zboża, tu złocącego się szczerym złotem, tam srebrzącego się kłosami pochyłymi, cześć oddającym Panu Bogu, a przede mną rozpostarła się przestrzeń bezmierna, hen tam daleko stykająca się z błękitem nieba. Puściłem konia w cwał przeżywając tak rozkoszne chwile zapomnienia, czując się drobnym ziarnkiem maku w tym świecie. Wchłaniałem słońce całą swą istotą i świst wiatru z jego tak orzeźwiającyymi pocałunkami i śpiew skowronków. Pędząc przed siebie wciąż dalej i dalej minąłem Małą Raczę, kapliczkę nad drogą na ruskim cmentarzu. Gdy wpadłem na przedmieście miasta, gdy jego smród i zaduch zaczęły smagać me płuca tak wyraźnie i dotkliwie dając odczuć, że nie wszędzie świat jest jednakowo piękny. Jak by zbudzony z letargu osadziłem konia na miejscu i smutny powlokłem się przez miasto. Ze zdziwieniem przyglądałem się rozmamłanym Żydówkom siedzącym pod swymi jatkami i lepiankami, półnagim żydziakom z osławionymi chusteczkami i pejsami „korkociągami”, uwydatniającymi się na twarzach z garbatymi nosami uzbrojonymi parami chytrych, zjadliwych oczu. I raptem chęć szalona wyrwania się z stąd jak najprędzej i ucieczki tam do tych łąk, pól i łąk ogarnęła całą moją istotę. Załatwiłem jak mogłem najprędzej pocztę w sklepie sprawunki i choć torba ciążyła mi bardzo, tęgim klusem przejechałem przez brudne uliczki, aż za ostatni dom przedmieścia, gdzie dopiero dałem wytchnąć koniowi, jadąc stępa. Tam sobie ulżyłem wspierając torbę na kulbace siodła, luzując ramię wderając się w ramię. Smutne myśli o mieście wciąż krążyły w mej głowie, do czasu zanim nie zobaczyłem wylaniającego się zza pól zbożowych sadu i białych ścian dworku Dużo – Raczańskiego. Zachęciłem klaczkę do szybszego biegu i już całkiem wesół i zadowolony z całego świata zajechałem pod stajnię, od której po maszerowałem do domu, by zdać Ojcu pocztę, rachunki i pozostałe pieniądze wraz ze sprawozdaniem z tej pierwszej jazdy nie tylko dla przyjemności, ale i dla załatwienia pewnych poleceń.

Zbliżał się czas, w którym trzeba było poważnie pomyśleć o mojej nauce i przygotować mnie do rosyjskiego gimnazjum. W związku z tym, trzeba było postarać się o wprowadzenie szerszego zbiorowiska obcych ludzi w me osobiste otoczenie, o wystawienie mnie na sąd kumoszek i kumów okolicznych poza obrębem dworku, kapliczki i ram czterech folwarków dzierżawionych przez Ojca. W jedną z niedziel, po walnej naradzie ciotek, stryjnek, bony itp. wyelegantowali mnie w granatowe aksamitne portki, atlasową bluzkę z jakąś kokardą i zabrano jednym z kilku jadących faetonów do kościoła w Radomyślu. Ponieważ ogładę salonową (jak mym ciotkom się zdawało) miałem dobrą, gdyż umiałem przyzwoicie zachować się przy stole i grzecznie odpowiedzieć na zapytanie starszym od siebie, nie podejrzewano wcale, że pod tą zewnętrzną powłoką siedzi dzik, źle czujący się wśród ludzi; którego ciągnie ku sobie las, pola, łąki, przestrzeń bez końca i granic. Nawet nie zapomniały wyszczególnić wszystkich napomnień co wypada i co nie wypada; co wolno i czego nie wolno. Całą drogę poprawiały to kapelusz słomkowy, to kokardę pod szyją powtarzając na wrywki: „Uważaj, zabrudzisz bluzkę, nie trzymaj się za poręcz ławeczki bo zabrudzisz ręce”. Przez całą drogę nie ustawały w swojej gorliwości napomnień. Wreszcie zajechaliśmy pod bramę kościelną. Ojciec za rękę wprowadził mnie do kościoła, gdzie wszyscy starsi zajęli pierwszą ławkę, przed ołtarzem (a ja byłem w niej obok Ojca). Niedługo dzwonek oznajmił początek mszy św. Za nami odezwały się organy i chór małego miasteczka. Kościół wypełnił się po brzegi, skutkiem czego powietrze i tak duszne stawało się coraz gorętszym, przesyconym zapachem kadzideł, kwiatów i potu ludzkiego, powietrzem od którego mętniało w oczach, a w głowie szumiało. Wypełniło się też prezbiterium arystokracją miasteczkową, wśród której trzymały prym p. doktorowa Lubińska z trzema córkami,

chłodząca się wachlarzem ze strusich piór. Klęcząc pobożnie odmawiałem z pamięci niezliczone razy swój pacierz codzienny, gdyż czytać jeszcze nie umiałem. Gdy została odczytana Ewangelia św. i Ojciec usadowił mnie obok siebie, nic nie rozumiejąc z kazania, zacząłem rozglądać się ciekawie po otoczeniu, starając się przy tym nie kręcić, wodziłem tylko oczami po wszystkich i obserwowałem. Na raz aż podrzuciło mnie coś na ławce, gdyż zobaczyłem wlepiony w siebie wzrok pani doktorowej, wzrok tak nieprzyjemny, zawierający w sobie tyle czegoś przykrego i nieznanego dotychczas, że siedziałem pod nim jak pod pręgierzem. Umyślnie zacząłem obserwować proboszcza na kazalnicy, lecz dziecięca ciekawość kazała mi po chwili spojrzeć znów na panią doktorową i znów spotkałem ten wzrok, by przed nim uciekać w innym kierunku, a gdy za trzecim razem spotkałem się z jej wzrokiem, dzika natura opętała mnie całego. Nie wytrzymałem, żeby raz na zawsze odczepić się od prześladowającego mnie spojrzenia, nie zastanawiając się długo, wysadziłem język na pół łokcia, a gdy pani doktorowa roześmiała się, położyłem rękę na ławce składając palce w kształcie figi. Rezultat był wspaniały. Pani doktorowa momentalnie zaczęła patrzeć się na księdza, a moje ciocie i stryjenki choć się jeszcze kazanie nie skończyło, popadały na kolana kryjąc w dłoniach kraśne od rumieńców twarze. Ojciec słuchał w skupieniu kazania nic i nikogo nie widząc. Lekko mi wtedy było na duszy. Gdy zadźwięczał pierwszy ton organów, sam pobożnie ukląknę na kolana odmawiając swój paciorek do końca nabożeństwa. Gdy po skończonej sumie wszyscy wyszli z kościoła, by w oczy opowiadać każdemu wiele przyjemności, a poza oczy zmyć nieobecnych od stóp do głowy; pani doktorowa zwróciła się do Ojca i powiedziała:” Ślicznego ma pan syna i gustownie ubrany, ale wychowanie pod psem „. Z ciotkami nie odważyłem się wracać do domu, ująłem mocno dłoń Ojca i tak nań spojrzałem, że mnie zrozumiał. Odprawił całe towarzystwo do domu pozostawiając sobie amerykańkę, a mnie zabrał do pani doktorowej, którą sam bez cudzych podszeptów, przeprosiłem czerwieniąc się nie gorzej od ciotek w kościele. Pierwszy skandal został zlikwidowany.

Ojciec.

(Napisano 24 lipca w Kostopolu)

Dziś nie wiem, gdzie jest pochowany. Nie wiem, czy znaczy krzyż Jego mogiłę. Wiem to tylko, że został zamordowany w bestialski sposób wraz z Mamą, Zosią, Jurkiem i ich trójką dzieci w Wołkowyjach i prawdopodobnie zostali pochowani przez Niemców. Mimo woli pytam się sam siebie, za co został zamordowany? Czy za to, że całe swe osiemdziesięcioletnie życie przeżył pracowicie, szlachetnie i uczynnie? Czy za to, że swych 7 córek i 2 synów nauczył żyć miłością, Boga, Ojczyzny i rodziny, nauczył pracować dla siebie i dla innych? Czy za to, że zawsze i wszędzie potrzebującym pomocy szedł z pomocą nie czekając, aż o nią poproszą? Zrozumieć nie mogę przyczyny! Jednak fakt jest faktem. Ojciec ten wysoki barczysty mężczyzna zawsze zaczesany „pod jeża” w długich butach, w maciejówce, ze swymi błękitnymi oczami, to bezmiernie dobrymi, to ciskającymi pioruny; z utrzymaną starannie bródką i podkreconymi w górę wąsami, staje mi wciąż w oczach i zda się prosić o przebaczenie dla własnych katów. Dzieckiem małym byłem, zaledwie chodzić zacząłem, gdy węzeł serdeczny został raz na zawsze zadziergnięty. Praca na roli wymagała całodziennego obecności Ojca w polu i przy gospodarstwie, a ja byłem zdany na łaski i niełaski bon, które nigdy nie mogły zastąpić dziecku matki. Nie umiały, a może i nie chciały, dać dziecku trochę serca i tkliwości, budząc w jego sercu miłość i przywiązanie. Częste siniaki na ciele od ich szczypania, rozdzielały nas coraz bardziej. Miłość, szacunek i przywiązanie do Ojca rosła i krzepła z każdym dniem koncentrując w sobie wszystkie uczucia serca dziecinnego, dzielone zazwyczaj między Ojca i Matkę. Gdy zachodziło słońce, wracał Ojciec do domu, a ja po Jego krokach rozpoznawałem czy w złym, czy w dobrym wraca humorze. Gdy po umyciu się wchodził do kancelarii, jeden rzut oka przekonywał mnie, że miałem rację przypuszczając ten lub inny nastrój duchowy. Wiedziałem, że gdy mierzy pokój szerokimi krokami siewcy, ręce założy za plecy, a czoło przecina głęboka bruzda, trzeba być cicho, ponieważ Ojciec coś obmyśla. Gdy krok jest szybszy, nerwowy, czoło gładkie, a setki iskier rozpromienia niebieskie oczy, można go pytać i prosić o wszystko; jest w dobrym nastroju. Gdy w całej postaci wyczuwało się zmęczenie, krok był ociężały, a wzrok stawał się głęboki i smutny, wiedziałem, że

ma zmartwienie. Rzadkie były wypadki, gdy ruchy traciły opanowanie, oczy miały piorunami, a głos też do nich był podobny. Chwile takie jednak bardzo szybko mijały. We wszystkich momentach obserwowałem go chwilę, a potem, gdy Ojciec zasiadał do pracy, włożyłem pod biurko na miękką rozścieloną wilczurę i tam u nóg Jego ja chłopiec, bawiłem się lalkami. Bywało czasami, że Ojciec zapracowany zapominał o mnie i w czas nie odsyłał spać. Ja nabawiwszy się do syta, tuliłem się do Jego nóg obutych w buty większe ode mnie i zasypiałem tak mocno, jak tylko dzieci spać umieją. Od tych wieczorów stale spędzanych razem, Ojciec stał się mą wyrocznią. Zbyttno mnie nie mazał i zawsze był stanowczy w stosunku do mnie. Swej miłości nie okazywał, jednak ta miłość sama promieniowała z całej jego postaci, gojąc wszelkie siniaki i bóle zadawane przez bony i innych, a jednocześnie wzbudzając i inne uczucia. Nie był to strach, lecz bardzo podobny do niego, wyolbrzymiony do fantastycznych rozmiarów szacunek. W latach późniejszych, gdy wyjechałem na naukę, wystarczyło, by mi ktoś powiedział: „ Ojciec na pewno chciałby, żebyś zrobił to tak, a nie tak” i już inaczej nie postąpiłem. Teraz, gdy mam coś ważnego zrobić lub postanowić, sam zastanawiam się nad tym i staram się tak postąpić, jak by postąpił według mojego mniemania Ojciec. I to właśnie jest przyczyną wielu wypadków z mego życia. Miłość Ojca i miłość ku Ojcu prowadziły mnie przez życie, stała się mą wyrocznią, mym aniołem opiekunem.

Sianokosy.

Po obiedzie, dwoma drabiniakami napełnionymi sianem i zaścielonymi dywanami, całe towarzystwo wyruszyło na łąki teterowieckie, gdzie kosowica dobiegała ku końcowi, żeby wykapać się w Teterowie i zobaczyć jak praca na łące wygląda. Kilka kilometrów polnej drogi pomiędzy łąkami dojrzewającego żyta, szybko przebyto. Nie zdążyliśmy jeszcze nacieszyć się jazdą, gdy spoza zboża wyłonił się pas czarny lasu kryneckiego, a przed nim szeroką przestrzeń zajęła szmaragdowa łąka, przecięta wstęgą połyskującą i ruchliwą Teterowa. W bród przejechaliśmy rzekę kierując się tam, gdzie wznosiły się coraz to nowe kopice siana, obok których uwijały się dziewczęta. Z grabiami w dłoniach w barwnych spodniach, pięknie wyszytych koszulach i fartuchach, z falą różnobarwnych koralików na piersiach i wstęgami kaskadą spadającymi po plecach, poruszały się jak rusalki na tle zielonego kobierca. Gromadząc siano w wały wonne, potem znosząc i układając w kopice robiły wrażenie istot z bajki niezwykłych śmiertelników. Rzucali czar jakiś na widzów, nie zwracając wcale na nich uwagi. Raz wraz wybuchały gamą dźwięcznego śmiechu, to żartem wesołym, to znowu swą całą naturę zamykały w pieśni melodyjnej, tęsknej i rzewnej wśród jej nawet wesołych motywów. Minęliśmy tę część sianokosu, kierując się ku wyciągniętym w klucz żurawi kosiarzom, od których raz wraz dochodził ku nam dźwięk ostry, metaliczny, podobny do dźwięku niewolniczych kajdan skazańca, to do wzywania na Anioła Pański sygnaturki, a czasem ostry zgrzyt, który jakby wyrzuty sumienia przypominał. To kosiarze bruskami ostrzą swe kosy. Kosiarze w słomianych kapeluszach, odziani w białe płócienne koszule i takie też spodnie, obuci w łapcie łykowe, na pozdrowienie Ojca „ Pomahaj Boże” obnażyli głowy odpowiadając zgodnym chórem „ dziękuję pane”. Chwila i znowu zakolysały się ich pochylone postacie, ścinana trawa skrzypiała przy dotknięciu ostrza kos, dźwięk metaliczny ostrzonych kos, znowu zaczął wrzynać się w powietrze. Ojciec pozostał z kosiarzami, a my udaliśmy się nad rzekę, gdzie całe towarzystwo oddało się rozkoszy kąpieli. Teterów w tym miejscu był płytki i dno miał piaszczyste i twarde, więc rozpoczęło się dokazywanie, gonitwy, pływanie na rękach po piasku tak długie, póki nie wezwano nas do podwieczorku, na świeżo skoszonej łące, pomiędzy wonnymi kopicami siana. Dzień przeszedł jak z bicza strzelił. O zachodzie słońca jechaliśmy do domu. Łąkę tego dnia już do koszenia i tylko barwny rój dziewcząt miał powrócić jutro do pracy wraz z furmankami i układaczami siana do stogowania. Rzewny smutek napełnił mą duszę. Byłem jak we śnie. A gdy nastąpiła noc prawdziwa i zasnęłam naprawdę, całą noc śnił mi się sianokos. Nazajutrz razem ze słonkiem wstałem, uprosiłem Ojca i dzień następny spędziłem znowu na łące, wchłaniając w siebie i wilgotne powietrze pachnące sianem, i pieśni, i śmiech, i barwność całokształtu na sianokosie.

Żniwa.

(napisano dnia 29.VIII.1944 roku)

Obudziłem się wcześnie. Słoneczny lipcowy poranek, piękny był i zapowiadał dzień upalny. Wskoczyłem z łóżka, ubrałem się i umyłem śpiesząc do jadalnego pokoju na śniadanie. Dom na ogół jeszcze spał. Tylko szklanki Ojca, już opróżnione ze swej zawartości świadczyły, że jest już w polu, przy żeńcach. Zjadłem czym prędzej śniadanie, na drogę wziąłem pajdę chleba grubo posmarowaną masłem i przełożoną szynką i nie czekając zanim mnie bona weźmie w swe posiadanie, czmychnąłem z domu. Szybko przebyłem aleję grabową. Ścieżyną, wśród gąszczu jaru spuściłem się w dół, gdzie było zawsze tak chłodno i pachniało wilgocią, oraz gnijącymi liśćmi. Doszedłem do furtki w oparkaniu parku i za chwilę byłem już wśród pól. Gdy tylko minąłem ogrodzenie parku, od razu poczułem się tak jak bym wszedł do rozpalonego pieca. Słońce sypało na ziemię żarem, od którego powietrze stało się inne niż zawsze i wciągane całą pełnią płuc, nie mogło ich nasycić dostatecznie. Wraz z żarem sypało milionami blasków, raziło oczy. Pomimo krótkich porciat i lekkiej koszulki było gorąco nie do wytrzymania. W powietrzu jakby zamarło wszystko. Ani najmniejszego powiewu wiatru, ani szczebiotu ptasiej gawiedzi, tylko niestanny szelest polnych koników, ich melodyjne cyrkania i skwar, okropny skwar. Pierwszym odruchem spowodowane dążenie cofnęło mnie do furtki, by za nią szukać schronienia przed skwarem i palącymi promieniami słońca. Lecz wyobraźnia, jak żywą odmalowała mi bonę na terenie parku. Nie namyślając się poszedłem w pole. Przeszedłem paręset kroków wśród pochylonych, o dużo przerastających mnie kłosów i wyszedłem na wolną przestrzeń, gdzie zboże było wyżęte, częściowo ustawione w kopy, częściowo leżało pojedynczymi snopami. Tam, gdzie zaczynała się ściana gęsta żyta na pniu, rozrzućeni żeńcy, raz wraz pochyla się ku ziemi podchwytyjąc pełne garście zboża lewą ręką, prawą uzbrojoną sierpem podcinając ujęte garście, składały je na poprzednio przygotowanych powrósłach. Zbliżyłem się ku nim pozdrawiając obyczajowym : „ Boh pomoszcz” ciekawie przyglądałem się ich pracy ze zdziwieniem i żalem, że muszą tak ciężko pracować w skwarze, pochyleni do ziemi. Ich oblane potem, rozchlastane na piersiach koszule, ruchy harmonijne, poważne, wykonywane jakby z nabożeństwem, sprawiały wrażenie modlitwy. Zmęczenie w całych postaciach widoczne i skwar, sprawiały wrażenie katowni. Jak innym był tu nastrój od sianokosów ! Ani piosenek wesolych, ni śmiechu, ni żartów, tylko powaga i skupienie w sobie. Od czasu do czasu wrywające się westchnienie lub stęknienie, chwilowe rozprostowanie zmęczonego kręgosłupa i znów pochylone postacie żeńców w swej pracy. Z dala dochodziły dziwne głosy, jakiś szcęk żelaza, łańcuchów, to nawoływania popędzanych koni Nie zatrzymując się długo przy żeńcach, poszedłem w tym kierunku, skąd dochodziły te dźwięki. Tam, gdzie złociła się pszenica, zobaczyłem pasącego się konia Ojca z linijką, puszczonego luzem bez opieki. Dalej Ojciec kroczył; zwracając uwagę na snop każdy. Z zakrętu wyłoniła się najpierw para koni, z siedzącym na jednym z nich Nykitką, chłopem stajennym, potem czwórka stajenna kierowana starym furmanem Romanem siedzącym na dziwnym koziołku. Z Romanem razem wyłoniła się cała maszyna dźwięcząca szeregiem kół i kółek, metalowych trybików z dziwnymi skrzydłami chylącymi zboże ku nożom je ścinającym. Szeroko rozwartymi oczyma zacząłem przyglądać się temu cudakowi i zrozumieć nie mogłem, co to się dzieje, że tu rosnące zboże, pada na raz podcięte ostrzem noża na ruchomy brezent, wraz z nim sunie w górę po to, by za chwilę wyskoczyć i położyć się między innymi snopami; już gotowy, mocno związany szpagatem z trawy morskiej. Nie zwracałem uwagi na kłujące ściernisko. Kalecząc nogi do krwi, pobiegłem ku Ojcu, pocałowałem Go w błyszczącą od potu rękę na powitanie i powędrowałem za snopowiązałką z ciekawością przyglądając się jak wyskakują z niej gotowe snopy. Ojciec zatrzymał maszynę, wydał jakieś polecenie Romanowi i zawoławszy mnie, poszedł w kierunku linijki. Z jaką dumą ja wtedy wiozłem Ojca z pola na pole, od snopowiązałki do żniwiarek koszących zboże i zgarniających swymi grabiami skrzydeł gotowe do wiązania snopy. Od żeńców do wiązalników, a od nich, tam gdzie układał Inicy kładli sterty na boku. Do południa samego furmanowałem Ojcu, a potem wprost ze stajni poszliśmy do rzeki zmyć pył pracy i żar słoneczny ochłodzić. Od tego dnia często wałęsałem się po polach wyszukując Ojca. Spędziłem z nim nie jedno przedpołudnie, gdyż popołudnie częściowo należało do mnie. Od godziny , z Ojca polecenia nie bona, a koń do mnie i ja do niego miałem prawo. I tego dnia po obiedzie pojechałem konno nie drogą bez celu, a tam, na pola do

żeńców, wiązalników i tysiącem języków gadających żniwiarek. Do tych pól, które dziś właśnie oddawały swój plon rolnikom, za ich trud, za ich znój, za ich wytrwałą ciężką pracę.

Grzybobranie.

Poprzedniego dnia postanowione było, że o świtaniu pojedziemy do lasu. Przygotowano całodzienne zapasy żywności i wiadrowe baryłki na rydze. Obudziłem się wtedy, gdy Dziunia, o dwa lata starsza ode mnie moja siostra, wpadła do pokoju i mocno zaczęła mnie tarmosić. Była szarówka zaledwie, gdy ubrany z koszyczkiem niewielkim poszedłem do jadalnego pokoju. Zastałem tam całe towarzystwo młodsze przy mleku i razowcu, a starszych przy pakowaniu koszy i pakunków, na stojące pod gankiem drabiniaki. Po kilkunastu minutach wyruszyliśmy do lasu, jadąc polami, rżyskami, łąkami z unoszącymi się nad nimi mgłami; w bród przez Teterów i jeszcze przed wschodem słońca byliśmy na miejscu. Konie i wozy po wyładowaniu wszystkiego na obszernej polanie, odeszły na gajówkę. Z nami pozostało dwóch gajowych. Oni mieli kierować całą wyprawą grzybobrania. Towarzystwo rozdzieliło się na dwie grupy. Jedna złożona ze starszych osób udała się na zbieranie i solenie w zabranych ze sobą baryłkach rydzów. Druga grupa, przeważnie młodzieży udała się na poszukiwania borowików, gołąbków, surojadek i innych członków grzybnego rodu. Na polanie pozostała bona i jeszcze któraś z ciotek, dla dozoru pozostawionych rzeczy, oraz odbierania, sortowania i układania w koszach zbieranych grzybów. Między starymi rozłożystymi dębami, wśród grabów, klonów, jesionów i innych drzew, wypatrując w nikłych trawach, jagodnikach i miejscami rzuconych wrzosowiskach: brunatnych czapek borowików osadzonych na potężnych białych korzeniach, chodziłem jak inni od drzewa do drzewa, od krzaczka do krzaczka. Pod jednym z dębów, wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca, złocącymi wierzchołki drzew zobaczyłem dwa prawdziwki bliźniaczo zrosnięte ze sobą. Za nimi inne posypały się jak z worka. Wyglądało to miejsce tak, jakby kto naumyślnie rozsypał tu grzyby. Nie zdążyłem podciąć nożem korzeni pierwszego, a już widziałem następny. W parę minut wypełniłem koszyk po brzegi. Żał było odejść z tego miejsca, bałem się, że znów na nie nie trafię. Zrzuciłem szybko koszulkę, związałem jej rekawy i w dalszym ciągu zbierałem prawdziwki do zaimprovizowanego worka, a gdy już wybierałem wszystkie na tym miejscu skierowałem, skierowałem się ku polanie, by plon swój odnieść ciotce. Ponieważ wszyscy mieli spore kosze i koszyki, ja najpierwszy przyniosłem grzyby. Ucieszyła się bardzo widząc tyle borowików. Nic nie powiedziała za wybrudzenie koszulki. Zaraz po zwolnieniu koszulki i koszyka ponownie pobiegłem do lasu na dalsze poszukiwanie grzybów. Gdy po raz drugi przyniosłem pełen koszyczek, zastałem już sporo dużych koszy pełnych po brzegi grzybów. Byłem już głodny. Rozglądałem się ciekawie czy nic nie myślą o jedzeniu, ale nie widząc żadnych przygotowań ku temu, ociężałym krokiem poszedłem znów w las idąc w innym niż wszyscy kierunku. Myślałem, że w całym lesie jednakowe grzyby wszędzie rosną, więc tam gdzie ich nikt nie bierze, musi ich być bardzo dużo. Dostałem się do zagajniku brzożowego. Chodziłem od drzewa do drzewa, zaglądałem pod każdy krzaczek nigdzie nie znajdując nawet śladu borowika. Chciałem wracać z pustym koszyczkiem na polanę, gdy niezbyt daleko od siebie zobaczyłem płaski czerwony kapelusz osadzony na cienkiej wysokiej nodze, ozdobiony białymi plamami. Cała masa tych barwnych grzybów ostro odbijała na białym tle pni brzożowych swą szkarłatną czerwienią. Ucieszony zacząłem zrywać czerwone czapki, ładując nimi koszyczek po brzegi i z dumą niosłem go na polankę. Bardzo się zdziwiłem, gdy na mój widok całe towarzystwo obecne na polance wybuchło głośnym śmiechem. Okazało się, że przyniosłem muchomorów trujących zdatnych jedynie do tępienia much. Umyłem ręce, na dowcipy i żarty rodzeństwa nie zwracając uwagi, gdyż co innego mnie zaciekało. Polana zmieniła swój wygląd codzienny. Na jej zielonym kobiercu rozpostarły się kilimy i dywany pełne tac z kanapkami, kurcząt smażonych i innych smakołyków. Na skraju lasu kuchcik zawzięcie dokręcał lody. W środku polany paliło się sute ognisko, przy którym ciotki, całe rozczervenione od gorąca, w podwójnym blasku ognia i słońca smażyły na patelniach świeżo zebrane surojadki, gołąbki i te rydze, którym już miejsca w baryłkach zabrakło. Borowiki, inaczej prawdziwkami zwane, pozostawały rozsegregowane w koszach jedno do marynowania, drugie do suszenia. Po spożyciu na polanie obiadu, do lasu już nie poszedłem. Koszyk mój był zajęty muchomorami, ja też straciłem ochotę do szukania grzybów. Wyciągnąłem się na jednym z dywanów patrząc poprzez gałęzie w błękit nieba, zacząłem snuć w myśli baśni o krasnoludkach mieszkających w lasach pod grzybami i usnąłem. Zbudził mnie z czarownej baśni snu turkot wozów zajeżdżających na polanę, gwar

nawoływania tych, co byli jeszcze w lesie, rejwach wypełniający polanę po brzegi. Zaczęło się teraz pakowanie koszy, baryłek, przywiezionego z sobą sprzętu i naczyń. Potem rozlokowanie całego towarzystwa, sprawdzenie, czy wszyscy są i czy nikt w lesie nie zabłądził... Gdy wszystko było już gotowe do drogi, wlałem na wóz ostatni siadając koło Nykity i w tumanach kurzu, pojechaliśmy do domu, gdzie czekał na nas suty podwieczorek.

Dożynki.

Od samego rana niezwykle chaos panował w piekarni i kuchni, a ruch wzmożony pomiędzy śpizarnią, lochem i lodownią. Rozognione twarze, wesołe śmiechy i nawoływania dziewcząt dworskich, świadczyły o tym, że odbywają się jakieś nadzwyczajne przygotowania. Zaciekawilo mnie to wszystko. Udałem się na poszukiwania Paraski w dworku. Znalazłem ją jak zwykle przy sprzątanii w jednym z dworskich pokoi i zapytałem o przyczynę tego nadzwyczajnego ruchu. Paraska też jakoś nie codzienna, powiedziała mi, że dziś święto dożynek i że jeszcze wczoraj przygotowując się do tego święta, zabito karmionego wieprza i rocznego zarżnięto byczka, a teraz robią przygotowania do zabawy dożynkowej. Nie rozumiałem co to za dożynki, ale wiedziałem: że jest to jakieś święto chłopskie, w którym dwór też bierze udział. Powędrowałem dalej, ku piekarni i kuchni, tam gdzie ruch był największy i najwięcej bieżaniny. Wychodząc z domu na ganek, zobaczyłem stolarzy naszych, ustawiających na wielkim trawniku przed podjazdem na trawie spalonej słońcem, stoły i także ławki w kształcie podkowy. W piekarni góry chleba i bułek. W piecach piekło się mięsiwo. W kotłach gotowano pierogi, przy lepieniu których, uwijały się legiony dziewcząt dworskich. Złociste strucle z jabłkami piętrzyły się na stole czekając na swą kolejkę podania na stół wraz z misami pełnymi gęstej śmietany. Wszystko to pięknie wyglądało, swymi aromatami łechcąc ponętnie podniebienie, ale mnie to nie nęciło. Poszedłem do sadu w odwiedzinach do swych niemych przyjaciół, a mianowicie: sapieżanki, bery, figówki, panny szarej i złotej renety i całego szeregu innych drzew owocowych naszego sadu, z już dojrzałym owocem, pięknymi barwami mieniącymi się wśród zieleni matowej liści. Dalej poszedłem do gajki śliwowego, gdzie obok renklod już zebranych rosły śliwki węgierki i prościuchy. Węgierki były już dojrzałe. Robili z nich teraz powidła, rożenki i inne specjały zimowe, susząc wiadrami na kompot zimowy, a ja raczyłem się nimi codziennie. Teraz też zaledwie wdrapałem się na drzewo, gdy usłyszałem głos muzyki i śpiewy gromady idących ludzi. Jak zwykle na wsi i teraz górował nad wszystkimi tonami bęben, głusząc i piskliwe skrzypki, i łagodny flet i dźwięki kornetu. Zeskoczyłem z drzewa i pędem pobiegłem do domu, w kierunku którego zbliżały się dźwięki muzyki. Na ganku zastałem już wszystkich na czele z Ojcem. Cała Jego postać poważna, tchnęła teraz radością i dumą szlachetną. On gospodarz, miał za chwilę przyjąć z rąk żeńców kończących żniwa, wieńce symboliczne, a potem przyjmować ich u siebie, jako gości podejmować ich i wraz z nimi weselić się z ukończenia zbioru darów Bożych, tą ze wszystkich najcięższą pracą. Otworzona na oścież brama podjazdowa, czeka gości. Uwijają się dworskie dziewczęta i chłopcy zastawiając stoły mięsiwem i innymi potrawami. Wytaczają beczułki piwa. Ekonom dozoruje tej pracy, rozstawia sztofy z wódką, czarki, od czasu do czasu jeszcze coś donieść każe, coś przestawić, by wszędzie jednako stoły były zastawione. Tony muzyki zbliżają się, potęgują głosy bębna powtarzające bez końca, bez wytchnienia swe dźwięczne: buch, buch, buch – buch, buch, buch. W bramę wchodzi najpierw trójka przodownic – dziewcząt w strój ludowy odzianych, z trzema wieńcami na głowach. Jeden z wieńców był z żyta, drugi z pszenicy, trzeci z jarych zbóż: gdzie owies kojarzył się z jęczmieniem, a kłosa z kwieciem polnym i jesiennymi kwiatami ogrodów. Za dziewczętami szli starsi robotnicy i robotnice w świątecznych przyodziewkach. Za nimi rój chłopców i dziewcząt dookoła wiejskiej kapeli, rozśpiewani, rozradowani Gdy cały pochód zbliżył się do ganku, umilkły naraz dźwięki kapeli, urwała się piosenka dożynkowa „ U naszaho panoczka dożynki, oj daj że nam nasz panoczku horytki”. Zapanowała poważna cisza, wśród której trzy dziewczyny piękne jak majowy poranek, niosąc wieńce na skroniach weszły na stopnie ganku, złożyły życzenia Ojcu doczekania plonów obfitych w roku następnym i pochyliły głowy, z których Ojciec zdjął wieńce, dając każdej z nich złotą monetę. Ojciec podziękował im za złożone życzenia, życząc im jednocześnie dobrej i szczęśliwej doli, przodownictwa we wszystkim szlachetnym i dobrym przez całe życie. Wieńce z powagą ulokował wśród obrazów w jadalnym pokoju. Gdy wrócił na ganek, wystąpił jeden ze starszych wiekiem robotników. W swej przemowie dziękował Ojcu za prawdziwe ojcowskie traktowanie pracowników i wsi, życząc długich lat pracy i panowania, oraz

szczęścia dla całej rodziny. Krótko i serdecznie odpowiedział Ojciec gromadzie, zapraszając wszystkich obecnych do poczęstunku. Zaczęły się teraz ceregiele przy zasiadaniu do stołu. Dziewczęta najbardziej chichotały i wstydziły się, lecz po pierwszej czarce nastrój zapanował pogodny i wesoły. Ojciec w doskonałym humorze, jako gospodarz zapraszał do jadła i picia, napełniał kieliszki, od czasu do czasu wypił czarkę wódki zagryzając czymkolwiek. Opróżnione misy zastępowano drugimi. Dworskie dziewczęta i chłopcy, uczując razem z żeńcami, pomagali Ojcu jednocześnie, naśladowując go w gościnności i dbając o większą młodzież nie robili i sobie krzywdy. Ja naturalnie nie pozostałem w tyle. Ulokowawszy się koło Nykitki, swego ulubieńca, omal nie rozbeczałem się skosztowawszy wódki, wypilem szklankę piwa i najadłem się po uszy próbując to - to, to inne dania. Gdy nikt już pić ani jeść nie miał ochoty, Ojciec podziękował wszystkim za to, że jego chlebem i solą nie pogardzili i zaprosił wszystkich, kto ma ochotę, na zabawę taneczną. Kapela poprzednio już wynajęta, zajęła swe miejsce. Dworska służba sprzątnęła misy i inne naczynia ze stołu, pozostawiając na nich piwo w baryłkach, kufle i pieczywo. Zagrano polkę. Dziewczęta zbite w jedną gromadę, chłopcy w drugą, zerkali ku sobie rwąc się całą duszą do tańca, rozpocząć którego nikt się nie odważał. Ojciec zbliżył się do gromady dziewcząt. Poprosił do tańca jedną z trzech przodownic, rozpoczynając z nią taniec, a za Ojcem zaroilo się od par w barwnych ukraińskich strojach, od unoszących się wstęg różnobarwnych, kolorowych spódnic, wyszytych koszul i fartuchów, to w szalonym wirze, to w powolnych ruchach kołując przed gankiem. Szafirowe niebo patrzyło już milionem gwiazd w noc ciemną, gdy zabawę na trawniku, przy blasku pochodni smolnych skończono. Grupa najdłuższej tańczącej młodzieży, z pieśnią wesołą i przy dźwiękach kapeli podziękowawszy Ojcu za przyjęcie i zabawę poszła ku wsi. Coraz słabiej słychać było ich pieśni i głos bębna. Coraz mniej pozostawało śladów niedawnej zabawy na trawniku, gdyż czeladź uprzętała stoły i ławki i wszystko co było jeszcze do sprzątnięcia. Gasły jedna po drugiej pochodnie, z ostatnim dźwiękiem bębna zgasła ostatnia. Pozostał ciemny szafir nieba roziskrzony milionami gwiazd i tajemnicza ciemność parku koło domu pełna szmerów i szeptów, pełna powabu i lęku. Poszedłem po ciemku do domu. Modliłem się rozbierałem i kładłem się spać bez światła, po dniu pełnym wrażeń miłych, niezapomnianych, braterstwa wsi i dworu.

Koniec wakacji.

Coraz słabiej słońce grzeje. Dnie jeszcze gorące poprzedzane są zimnymi porankami i takimi samymi wieczorami. W ogrodzie kwitną kanny, gladiolusy, astry, nasturcje, mrozy, floksy i inne kwiaty jesienne. W całym domu panuje ruch gorączkowy zapowiadający odjazd letnich gości. Generalne pranie, zbierane przez każdego swoich gratów i ściąganie ich do jednego miejsca. Wykończanie przygotowań zapasów zimowych. Kwaśne humory i wydłużone smutkiem twarze. Wszystko to razem świadczy o tym, że lada dzień zacznie się rozjeżdżać wesoła, beztraska gromada do swego codziennego życia, szarego i ciężkiego. Rzeczywiście, po paru dniach ogólnego chaosu, jednego poranka podjechał fajeton i szaraban pod ganek. Po ogólnym śniadaniu rozpoczęły się pożegnania, życzenia, całowanie się i wzajemne dziękowanie. A potem wspólne „Pod Twoją Obronę”, jeszcze raz całowanie się na ganku i pakowanie koszy, walizek i tobołów najrozmaitszych w szaraban. W powozie zajęli miejsca Stryjostwo Cezarostwo, Halunia i Maruchna na przedniej ławeczce, a Janek na koźle. Ich bona Francuzka madmuazel Antonet wgramoliła się na szaraban. Ojciec zamienił parę słów ze Stryjostwem, powiedziawszy: z Bogiem przeżegnał ich znakiem krzyża. Roman palnął z bata, potoczyły się koła pojazdów od podjazdu przez podwórze ku drodze wiodącej na trakt, a tam przez wieś naszą, Międzyrzeczkę, Wyszewicze, Wepryn i Irszę na stację tegoż imienia, od której pociągiem Stryjostwo jechali do Petersburga. Po odjeździe Stryjostwa, dopóki widać było oddalające się pojazdy machaniem chusteczek żegnaliśmy ich, idąc później każdy do swych zajęć. Jednak ani zabawa, ani roboty nie kleiła się tego dnia. Obiad też przeszedł w poważnym skupieniu. Ani wesołości zwyczajnej ni żartów. Wrażenie takie było, jak by ktoś w domu zachorował na ciężką chorobę. Dnia następnego dwoma fajetonami i wozem pod rzeczy, odjechali Wujostwo Jezierscy z Joasią, Zosią, Wandą, Stasiem, jego dwoma kolegami i moją boną do Żytomierza. Gdy konie wróciły z tej drogi odjechała ciocia Joasia z Zosią, Miłą i Lucią do Radomyśla. A wtedy zaczęło się przygotowanie siostr starszych na pensję do Warszawy. Szyto przepisową ilość bielizny, określonego

formatu mundurki, czarne i białe fartuszki, a gdy wszystko było gotowe i zapakowane do koszy; ręczne koszyki też wypełnione zostały prowiantami i na drogę. Ojciec z Niną i Mula odjechali do Irszy, gdyż Ojciec miał z nimi być w Warszawie przez czas egzaminów, aż do ulokowania na pensji. Dwór niedawno gwarny i liczny zacichł, stał się pustym, posępnym i głuchym, choć ściany jego, jednak bielily się wśród jaskrawych kwiatów jesieni i zieleni wyłożonych już częściowo liści. W domu pozostali Dziadkowie, Matka, brat cioteczny Adolf Werner i jeszcze jeden praktykant rolny, siostra Dziunia i ja, oraz siostra cioteczna Anusia Werner w charakterze nauczycielki Dziuni i mojej. Ubyło dwadzieścia kilka osób. Choć na ogół, nie lubiłem zbytnio towarzystwa licznego, teraz czułem się tak samotnym, że ucieszyłbym się spotykając już na zawsze nieobecna bonę w jednej z alei parkowej. Błądziłem po alejach parku. Splądrowałem cały sad owocowy, wyszukując pojedynczych jabłek, pozostałych gdzieś na ogołoconych z owoców letnich jabłoniach. Nie zapomniałem o węgierkach, ani o berach. Odwiedziłem każde drzewo, pasiekę i pasiecznika, starego Aleksandra, który stale częstował mnie winnymi jabłkami z miodem. Aż nareszcie głos Paraski zawiadomił mnie o obiedzie, na który pośpieszyłem.

Orka – siew.

Wprost od stołu pośpieszyłem do stajni. Wsiadłem na osiodlaną Bundę i pojechałem w pola. Smutne były one teraz i posępne. Ni bieli gryki, ni czerwieni koniczyny, ni szumu kłosów pochylonych, brzemienych ziarnem dorodnym, tylko ściernisko pozostałe po żniwach, zbite przez bydło, szerniałe pod chłostą deszczu i wiatru, czerniejące to tu, to tam skibami zaoranego pola. Błękit nieba plamami chmur raz wraz przesłaniającymi promienie słoneczne i rzucającymi chłodny cień na smutną ziemię. Coraz to nowe klucze odlatujących za morza ptaków przerywały przestwór niebieski, smutnym krzykiem, żegnając te pola, łąki i lasy, które je wykarmiły, a które teraz porzucić muszą, może już bezpowrotnie. Ich krzyk rozpaczy tyle zawierał w sobie tęsknoty, tyle smutku, tak podobnego do smutku pól ogołoconych z urodzaju, wżerającego się do skołataną duszy, którą jeszcze boleśniej rozstrajał. Świerszcze w ścierniskach trzeszczały na zabój prześcigając się w swych płasach. Z pośpiechem wykonywały swe tańce jakby czując już zbliżający się podmuch zabójczych wichrów jesiennych i przymrozków. Kędy nie spojrzysz smutek, tęsknota i żal, że już zbliża się koniec rozkosznego lata. Skierowałem konia na ugory, gdzie odbywała się orka, i gdzie zobaczyłem biedkę dwukołową Dziadka zastępującego Ojca. Pługi dwuskibowe zaprężone czwórkami koni posuwały się jeden za drugim, odwalając czarne skiby ziemi. W niewielkim oddaleniu kroczyły za nimi wrony i gawrony czatujące na tłuste pędraki, wybierały je ochoczo. Dalej świeżo zoraną glebę rozbijały na drobne grudy brony, a za nimi dążyły siewniki rzędowe siejące i zakrywające jednocześnie ziarno ziemią przed łakomym okiem ptactwa. Granicą zasiewanego przez siewniki pola, siewca, z przewieszoną przez ramię płachtą wypełnioną zbożem, szedł z głową odkrytą, z modlitwą na ustach krokiem szerokim, mierzonym z postacią pochyloną ku przodowi rozsypywał ziarno prawą ręką, lewą podtrzymując płachtę. Wiatr smagał go po twarzy, rozrzucał siwiejące kosmyki włosów, on nie zwracał uwagi na nic. Sypiąc pełną dłonią ziarno, rozprostowując przy tym wszystkie palce sypiącej ręki, szeptał słowa modlitwy do Boga miłosiernego, prosząc Go, by w roku następnym plon z pola zebrać mu pozwolił. By to pole siane miał w swej opiece, chronił, błogosławił i ziarnem stokrotnym obdarzył. W jego postaci całej, w jego ufności ku Stwórcy świata, prostocie, z jaką rozmawiał ze Stwórcą i Panem, pokorze wyrażonej w obnażonej głowie, tyle było piękna, tyle malowniczości i nabożeństwa, że mimo woli obnażyłem głowę, by wraz z nim prosić Boga o urodzaj dla Ojca, dla nas wszystkich; dla tego siewcy i wszystkich ludzi pracy. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy pługi, brony i siewniki ukończyły swą pracę i powracały do domu. Dziadek na swojej biedce pojechał pierwszy, ja zamykałem pochód jadąc tuż za ostatnim wozem, z workami już próżnymi po wysianym zbożu, a w oczach swych wciąż widziałem siewcę z obnażoną głową i jego szlachetną, rozmodloną twarz. Poznałem teraz sekret urodzaju naszej ziemi. Chleb rodziła praca oparta na dwu miłościach, miłości ziemi i miłości Boga, zlewających się nierozzerwalnie w jedną całość. Więc Bóg błogosławił i lud chlebem darzył, i wszystkim, co ta czarna ziemia dać mogła. Z pola wróciłem do domu ze znacznie mniejszą tęsknotą i smutkiem jak wyjeżdżałem z domu.

Młocka.

Otworzyłem oczy. Na pół senne widziadło majaczyło ostatkami wspomnień. Raziło słońce, wypełniające swą jaśnią pokój. Płuca napełniały zapachy jesiennych kwiatów, wdzierających się przez otwarte okno. Wraz z nimi, wdierały się nieprzerwaną falą to głośniejsze, to cichsze dźwięki. Dźwięki te warczące, to znów do grzechotek podobne, połączone z czymś przypominającym urywane wycie, ciągnęły i wołały ku sobie. W jednej koszulinie zbliżyłem się do okna. Spojrzałem na trawę pokrytą kroplami rosy. Na błękit nieba i przesuwające się po nim nici babiego lata. Na cały piękny świat skąpany promieniami słońca i od razu, pokoik mój, obszerny i jasny, stał się zbyt ciasnym. Ciągnęło mnie do szerokiej przestrzeni pól, poza obręb ogrodu, sadu i parku. Chwila i już byłem na podwórze gospodarczym. Szedłem w kierunku boku stodoły i długich stert zboża ustawionych rzędami, obok stodoły, w której była ustawiona młockarnia konna. W miarę zbliżania się ku stodole, rosły i potężniały warkoty maszyny. Jej łagodny zew próżnych bębnow, to warzenie złe tychże bębnow przy chwytaniu rozwiązanych i podawanych w paszczę rozwartych snopów. Szczęk łańcuchów, trybów i trybików. Nawoływanie popędzających konie pastuszków. Pieśni dziewcząt. Kłęby pyłu. Wszystko to kotłowało się razem, zlewając się w jedną całość tworzyło wspaniałą harmonię. Minąłem konie popędzane przez pastuszków i wszedłem przez szeroko otwarte wrota do stodoły. Od razu otoczyły mnie gęste kłęby kurzu i mrok, pomimo otwartych przeciwnych wrót, panujący tu niepodzielnie. Gdy wzrok oswoił się już z tym światłem, zobaczyłem wtedy, mniej więcej dokładnie, jak odbywa się robota w stodole. Na górnym pokładzie młocarki, na tak zwanym stole w specjalnym wgłębieniu, stał barabanowy, ten człowiek, który rozwiązane snopy podawał do barabanu. Obok niego, po obu stronach stały dwie dorodne dziewczyny, zadaniem których, było pochwyć podany snop, rozwiązać go i podać barabanowemu. U dołu kręcił się rój dziewcząt. Jedne z nich pracowały przy wygarnianiu ziarna sypiącego się na ziemię, u czoła maszyny. Drugie wygarniały i odnosiły dużymi rondlami zgoniny na miejsce przeznaczenia, gdzie inni z robotników formowali z nich ule, duże kopice wypełnione zgoninami, obłożone słomą chroniącą je od zmian atmosferycznych. Trzecie w końcu młocarki przyjmowały wylatującą tam słomę, dokładnie wytrząsały z niej pozostałe jeszcze ziarno i wytrzęsioną wyrzucały za wrota, przez drabinę. Słoma wiązana za wrotami w siatkę z łańcuchami szła dalej na stertę coraz większą, gdzie układalnicy układali ją fachowo. Ruch wszędzie szybki, nie wymagający specjalnego zachęcania i popędzania w pracy, a to z tego powodu, że robotnik współpracował z maszyną. Praca opłacana marniej niż żniwa, a jednak również ciężka choć mniej męcząca. Tu nie ma palących promieni słońca i zgiętej ku ziemi postawy. Jednak pył unoszący się kłębami, wżerający się do ust, nosa, oczu, w każdą szczelinę ubrania i pot ściekający po twarzach pozostawiający na swych drogach jaśniejsze lub rozmazane smugi, pomimo chłodu przyjemnego stodoły, świadczą, że praca ta jest ciężka i wyczerpująca jak każda inna. Zgrzytnęło na raz coś w bębnach. Podany źle snop jednocześnie trafił do bębnow, które nie mogły go od razu strawić, pas spadł. Zaturkotały tryby kieratów. Maszyna umilkła. Od razu wszyscy wyskoczyli za bramę. Podobniejsi do murzynów, więcej niż do białych ludzi, wszyscy zaczęli strzepywać kurz ze swego ubrania, wycierać nosy, płukać usta, żartować i przygadywać sobie nawzajem. Przyglądałem się z ciekawością wszystkim z trudem poznając znajomych. Po kilkunastu minutach maszyna znów rozpoczęła swą pieśń. Ja natychmiast znalazłem się razem z innymi w stodole. Próbowałem po kolei każdą robotę, wyręczając w niej to tę, to inną dziewczynę. Przekonywałem się sam na sobie, ile każda z tych robót kosztuje wysiłku. Gdy nadszedł czas obiadu, sam, zmęczony, spocony i umorusany poszedłem do łazienki, by umyć się, odświeżyć i strzepać kurz na godzinę, bo po obiedzie wiedziałem że, powrócę do stodoły z młockarnią.

Rozpoczynam naukę.

Złotożółte liście usłały drogi i dróżki parku. Korony drzew, na pół obnażone, sypiąc liśćmi przepuszczały chłodne promyki słońca. Kwiaty jesienne zwarzyły przymrozki, białą pokrywając ziemię co rana. W polkach zakończono siew, wykopano ziemniaki. Tylko pługi co rana wychodziły w pole na podorywkę jesienną. Dzień w dzień jeździły furmanki do lasu, zwożąc opał na zimę. Od stodoły dochodził monotony warkot

młockarni... W jeden z takich dni pojechał Ojciec do Żytomierza, po nauczycielkę dla Dziuni i dla mnie. Miałem rozpocząć naukę systematyczną, a na wiosnę zdawać do gimnazjum w Żytomierzu. Wiedziałem po co Ojciec pojechał i to właśnie mnie męczyło. Bałem się, że ta nauczycielka, która ma przyjechać, zechce cały dzień mieć mnie w swoim posiadaniu; że tak, jak przedtem bony, będzie szczypała i dawała pod stołem kuksańce. Czekałem jeszcze nie znając, a już bojąc się Jej i nienawidząc Ją całą potęgą duszy dziecięcej. Starłem się, jak tylko można długo Jej nie widzieć i odwlec moment spotkania, bodaj na kilka godzin. Tak dobrze było mi korzystać z pełnej swobody. Tak dobrze było od rana do nocy spędzać czas na koniu, w parku, sadzie, wśród budynków gospodarczych, wśród pól, łąk i lasu. A teraz? Znowu trzeba powracać do czterech ścian i opieki takiej, jak opieka bon. Cały dzień prawie wałęsałem się daleko w polach. Nie wyliczyłem, że do Żytomierza 64 kilometry i tego dnia Ojciec nie powróci. Rano gdy w stajni sprawdziłem, że konie stajenne są jeszcze w drodze, do obiadu trzymałem się w pobliżu domu, a potem powędrowałem w pole, z którego widziałem i trakt, i nasz fajeton tęgim klusem mknący ku dworkowi, i siedzące w nim dwie postacie w których dorozumiałem Ojca i nauczycielkę. Nie chciałem od razu zmartwić Ojca. Na kolację stawiałem się o czasie. Ojciec mnie ucałował serdecznie, potem wręczył przywiezioną dla mnie paczkę dużą, w której były książki, zeszyty, ołówki, pióra i sporo łakoci. Potem przedstawił mnie młodej, ładnej, nie wysokiego wzrostu blondynce, która weszła do pokoju, mówiąc: „To właśnie jest ten syn, którego Pani ma uczyć”. Odezwała się do mnie nowa Pani podając rękę: „będziesz do mnie mówił panno Kazimiero, jutro zapoznamy się z tobą lepiej, dziś nie będę cię męczyła, chyba, że sam zechcesz mi opowiedzieć, co przez cały dzień robiłeś”. Nie namyślając się długo, palnąłem prosto z mostu: uciekałem daleko od domu, żeby z Panią jak najdłużej się nie spotkać, ale teraz nie będę uciekał, bo Pani mi się podoba”. W takim razie zgoda, powiedziała panna Kazimiera. Jutro spotkamy się tu o dziewiątej, a teraz siadajmy do kolacji. Tego dnia nie udzieliła mi więcej swej uwagi, czym byłem mocno zdziwiony, nie rozumiejąc, dlaczego mnie nie strofuję. Nić sympatii została od razu nawiązana. Długo wieczorem nie mogłem zasnąć myśląc o swojej nauczycielce, o lekcji jutrzejszej, o tym jak dalej czas popłynie. Znałem już elementarz. Po polsku czytać nauczyła mnie Anusia. Umiałem rachować do dwudziestu, jeździć dobrze konno, łązić po drzewach. Poza tym nic. Następnego dnia po śniadaniu, panna Kazimiera zabrała mnie do pokoju dziecinnego na lekcję. Dziunia starsza ode mnie o dwa lata, mozoliła się nad pisaniem, a ja popisywałem się w tym czasie swoimi wiadomościami. Potem panna Kazimiera opowiedziała jakąś ciekawą bajkę i oświadczyła, że jestem wolny do dnia następnego. Z radością objąłem Ją za szyję, ucałowałem w policzek i momentalnie ulotniłem się z pokoju. Zrozumiałem, że obecna nauczycielka nie będzie krępować mych swobód, że poza lekcjami będę miał poprzednią swobodę ruchów i żadnych sińców na ciele, że uczyć się trzeba, to rozumiałem i uczyć się chciałem, żeby nie robić Ojcu i nowej Pani. przykrości. Od tego dnia wszystkie ranki spędzałem w pokoju dziecinnym o d 9 do 12 godziny. Godzina lekcji, potem pogadanka, potem odrabianie zadanych lekcji. Drugie śniadanie i hulaj dusza bez kontusza. Trudne były i obce słowiańskie zaharluczki, trudne były rosyjskie litery i akcent. Jednak przy dobrych chęciach musiałem, chciałem, a więc i przezwyciężałem te trudności. Po paru tygodniach zapytana panna Kazimiera dała dobrą opinie Ojcu o moje nauce. Rozjaśniły się Jego oczy, a ja postanowiłem jeszcze lepiej się uczyć i zdać egzamin na wiosnę.

Jesienna słońca.

Obnażone konary drzew szamocze wiatr. Szerniałe złote liście szemrzą na ziemi ochlapane błotem. Kłęby ciężkich, szarych chmur, wiszących nad ziemią, zakrywają błękit nieba. Gdy patrzę na nie, zda się, że nie wytrzymują ciężaru wilgoci i runą na ziemię niszcząc i topiąc wszystko. Pada bez ustanku drobny deszcz, tworząc bańki powietrzne na kałużach. Bańki pływające na ciemnej powierzchni kałuż wróżą długi deszcz. Krople spadają na dach gontami kryty, wybijają takt miarowy na jego powierzchni, podobny do szmeru, do skargi, do łkań. Płaczą szyby okien spływającymi ciężkimi kroplami. Płaczą i jęk wydają żaloszny, gdy wiatr mocniej o szkło uderzy kroplami. Wraz z całą naturą płacze dusza i łka, i taka ogarnia ją tęsknota, że jakby kirem żalobnym omotuję całą istotę. Stoję przed oknem i patrzę przez obnażone gałęzie na podwórce gospodarcze, park, pola i trakt, brudną wstęgą błota ciągnący się pomiędzy zielonymi oziminami. Wszędzie

czarna lepka maź błota, wszędzie strugi padającego deszczu. Od czasu do czasu przesunie się podwórzem jakaś postać opięta szczelnie, lub przykryta zrobionym z worka kapturem. Także, czasem przejedzie drogą furmanka. Zmoknięte konie idą stępa, z trudem wyciągając nogi z błota, włoką obłożony wóz. Przemoczeni pasażerowie siedzą skuleni pod napiętymi płachtami brezentu, kołysząc się na wybojach rozkiśłego traktu. Na pastwiskach ociekające wodą krowy, zmokłe i zmarznięte, stoją smutne z opuszczonymi łbami czatując na nieuwagę pastuszka, by uciec prędzej zpod batów chłostzącego deszczu pod strzechę, na suchą podściółkę. Kury, indyki, pawie i perliczki obmokłe i ochlapane w błocie, kryją się po różnych zakątkach, to pod strzechę ociekającą wodą, to pod dach wozowni. Jedynie gęsi i kaczki czuły się znakomicie. Brodząc od kałuży do kałuży szukały w nich czegoś, zanurzając dzioby w brudnej wodzie, od czasu do czasu gęgając i kwacząc wesoło. A czasem przemyka podwórzem, któraś z dziewcząt dworskich. W podkasanej wysoko spódnicy, ślizgając się po błocie śpieszy w kierunku lodowni, lochu, lub kurników. Pod nawisem drewnutni stary Trochim rąbie drwa przygotowując rezerwę opału zimowego. Ponieważ tą postać mogłem jedynie obserwować bez przerwy, zacząłem pilnie z nudów przyglądać się jego pracy. W czapie baraniej z pod której zwisały kosmyki włosów nigdy nie czesanych, w długiej, prawie ziemi sięgającej świcie, podpasany sznurkiem, z mocno wypchaną pazuchą, Trochim miarowym ruchem podnosił siekierę w górę i ze stęknięciem opuszczał uderzając z siłą w stojący pniak. Pod jego uderzeniem rozlatywały się pieńki na coraz to cieńsze polana. Stos drewna rósł coraz bardziej, aż gdy zaczął mu w rąbaniu przeszkadzać, rzucił siekierę i wziął się do układania narąbanego drewna. Dziwnym był ten Trochim. Ludzie mówili o nim, że u niego nie wszyscy są w domu i naprawdę był nienormalnym. Gdy go nikt nie drażnił, ten cichy wariat, który w jedną z nocy świętojańskich wybrał się o północy do lasu szukać kwiatu paproci, powrócił już nie normalnym. Był spokojny, nie ruszył nikogo. Wypędzono go z domu rodzinnego. U Ojca mego, znalazł przytułek i u nas pozostał do śmierci. Zimą rąbał drwa i pomagał w oborach. Latem pasał krowy, ze swym pomocnikiem, ubrany w długą świtę podpasaną sznurkiem, pod którą nosił płócienne portki i koszulę, na nogach łykowe postoly, a całość uzupełniała barankowa czapka na głowie. Zimą na świtę wciągał kozuch, a na nogi obuwał walonki. Część składową Trochima stanowiły dwie potężne pałki i torba wypełniona kolorowymi papierkami z cukierków, czekolady, herbaty. To były Jego „hroszy”. Gdy torba już nie mieściła tych skarbów, pchał je za pazuchę. Gdy i tam miejsca brakło, zakopywał ciemną nocą swój skarb w miejsca jedynie jemu znane. W księżycowe noce chodził szukać tych miejsc. Uderzał w ziemię swymi łaskami, słuchał, a gdy ziemia dudniła, kopał jamę do grobu podobną i położywszy nad jamą łaski na kształt krzyża, skakał przez nią, w księżycowej poświacie do umęczenia. Rano, jego nocnej roboty wszystkie ślady były już zamaskowane. Latem, gdy było mu zbyt gorąco, rozbierał się do naga i w stroju Adamowym pędził traktem krowy z pastwiska, niosąc na oberemku swój skarb i przyodziewek. Stale rozmawiał sam z sobą. Ludzi unikał, bojąc się by jego skarbu nikt nie ukradł. Sam nigdy, nikogo nie zaczepił i ze mną był w wielkiej zgodzie, ponieważ zbierałem dla niego kolorowe papierki. Biada była temu, kto się ośmielił jego torbę ruszyć. Dostawał wtedy szalu i co miał w ręku, tym grzmocił nie czując swej siły Herkulesa. W chwili szalu, poza mym Ojcem, nikogo nie uznawał. Bez pracy usiedzieć nie mógł ani chwili. Wciąż musiał coś robić. Gdy czasem zabrakło mu drewna do rąbania, szedł do parku, wyrąbywał pierwsze lepsze drzewo i na własnych plecach przenosił do drewnutni, by pracę mieć dalej, choć to nie było potrzebne, a odwrotnie robił w ten sposób szkodę. Taki był ten Trochim, którego obserwowałem przez okno, którego lubiłem, a jednocześnie bałem się w głębi duszy dziecięcej. Patrząc przez okno zauważyłem, że krople deszczu rzedną. Z poza chmur, gdzieś tam wyglądał błękit nieba. Kałuże nie pokrywały plamy powietrznych baniek. Deszcz padający bez przerwy kilka dni, przestał padać. Włożyłem ciepłą kurtkę i czapkę na głowę biegnąc do stajni. Mikitka osiodłał Bundę. Wyjechałem na trakt pokryty błotem jadąc w kierunku Radomyśla. Jakaż inna była teraz ta jazda od poprzednich. Koń idąc stępa coraz się ślizgał w błocie, obryzgując mnie jego kawałkami. Co krok trzeba przebywać kałuże, a gdy wyjechałem na rozmiętkłą rolę, omal nie ugrzęzłem wraz z Bundą. Zniechęcony, przejechawszy parę kilometrów, zawróciłem konia i po godzinie byłem już w domu. Panna Kazimiera widząc moją nudę, zabrała mnie do swego pokoju. Robiąc jakąś robótkę zaczęła snuć bajkę: słoneczną, piękną. Zasłuchany, zapomniałem o jesiennych słońcach, płaczącym deszczu i całej monotonii dni spędzonych w czterech ścianach domu. Smutek ulatniał się z duszy, wypełniając ją spokojem i jaśnią. Dzień stał się dniem nie smutku i nudy, a przyjemności i ukojenia rozterki duchowej.

Śnieg.

Błoto stężało zamieniając się w ostre grudy. Od kilku dni wiatr dął, z północy, niosąc z sobą mróz. Zaczęto palić w piecach i na kominku w salonie. Krowy i konie nie chodziły na pastwisko. Gdy obudziłem się jednego z poranków, zauważyłem, że ściany i sufit są bielsze niż zwykle i pokój wypełnia jasność. Wstałem z łóżka, a gdy byłem na pół ubrany, zbliżyłem się do okna. To co zobaczyłem, wprowadziło mnie w zachwyty. Całą ziemię pokrył śnieg. Wszystko białe, i pola, i drogi, i dachy budynków. Drzewa i krzewy pokryte szronem wyglądają pięknie, przypominają z bajki, zaczarowane zamki lodowe. Gdzie spojrzysz biel niczym niesplamiona na tle której, tak ładnie odbijała wieś. Dym z kominów unosił równymi smugami wprost pionowo, rozwiewając się i niknąc w przestrzeni. Niknąc jak nigdy nie spełnione marzenie, jak pęknięta, tęczowa bańka mydlana. Ulica wsi pełna dziatwy ubranej w buty na wyrost, świtki lub kurtki ze starszego pokolenia, z pozawijanymi rękawami dłuższymi od rąk. Ta cała niesforna gromada wysypała się na ulicę z dusznych i ciasnych chat, cieszyła się swobodą, powietrzem i przestrzenią, cieszyła się spadłym nocą śniegiem. Poruszając się niezgrabnie w ubraniu, do którego jeszcze nie przywykły, pracowały, każde na swój sposób. Jedno z nich ciągnęło za sobą sanki wrzynające się w biel śnieżną, jeszcze sypką i lotną. Sanki zgrzytały płozami czepiając grudy. Inne dziecko szykowało sobie łyżwy. Trzecie zaś szukało odpowiedniego miejsca na zjazd do saneczkowania Parę dzieci, widocznie z braku przyodziewku, wyszło na ulicę w jednych koszulinach, włożywszy coniebądź na nogi. Stojąc przytulone do ściany domu, chuchając w zmarznięte rączyny z zawiścią patrzyły na bawiącą się gromadę, zanim chłód nie zagonił je z powrotem do chaty. Ja również z zawiścią patrzyłem na tą rozbawioną gromadę. Mnie też rwało ku nim, ale najpierw czekał obowiązek, - trzeba było odrobić lekcję. Po mału, nie śpiesząc, kończyłem ubieranie, a gdy już byłem gotów, powędrowałem na śniadanie i naukę. Tego dnia nie mogłem skupić uwagi. Panna Kazimiera miała dużo trudności ze mną, ale zrozumiała mój nastrój wewnętrzny, nie gniewała się i nie robiła wymówek. Zaraz po drugim śniadaniu, ciepło ubrany, wybiegłem z domu. Do wsi iść nie było mi wolno. Mogłem bawić się w parku ile wlezie, ale w parku brakowało mi towarzyszy zabaw. Ostrożnie, jakby z łąkiem zrobiłem pierwszych kilka kroków. Było mi żal deptać śnieg tak precyzyjnie biały. Żał było niszczyć jego delikatne gwiazdki, lekkim puchem pokrywające ziemię. Wiedziałem już wtedy, że śnieg jest kołdrą ziemi i chroni ją, a też korzonki wszystkich roślin od mrozów zimowych, od zguby. I może dlatego starałem się swe kroki stawiać ostrożnie i lekko. W miarę oddalania się od domu ciekawość dziecięca pochłonięła mnie całkowicie i teraz chciałem jak najszybciej zobaczyć jak wygląda jar nad rzeczką ? Czy lód jest na niej dostatecznie mocny ? Co dzieje się w altanie lipowej ? Czy jednako wszystkie jabłonie szron okrył ? Biegłem od drzewa do drzewa, od jednego ku drugiemu zakątkowi parku, śladami znacząc swój szlak. Zdziwiłem się bardzo dnia tego nie widząc Ojca przy obiedzie. Z rozmów ogólnych dowiedziałem się, że został wezwany do lasu i zabrawszy strzelbę opuścił domostwo. Przed zmrokiem przyjechał Ojciec z lasu, złożył przywieziony, nie wiadomo z czym worek w kancelarii, zamykając ją na klucz. Dziwny smutek i troskę widziałem w Ojca spojrzeniu. Wnoszono potem deski do kancelarii. Stolarz majstrował tam heblując i stukając młotkiem. O szarej godzinie wynieśli ludzie trumnę, złożyli na furmankę i wraz z nią pojechali w kierunku Wyszewicz. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nikt nie płacze, a jednak każdy jest smutny i bardzo poważny. Poszedłem do salonu gdzie Dziadek siedział zamyślony przy kominku, a Babcia w swoim staroświeckim fotelu odmawiała wieczorne pacierze. Ucałowałem Dziadka w rękę i poprosiłem, aby mi opowiedział, co to się stało. Dziadek, trochę pomyślał, potem położył swoją rękę na moją głowę i zaczął. „ o tym co będę ci mówił nikomu i nigdy mówić nie można, tak jak byś nic nie wiedział. Przyniekasz mi milczenie. ” Naturalnie, że bez namysłu przyrzekłem milczenie, wiedząc z góry, że przyrzeczenia potrafię dotrzymać. Więc słuchaj: dawno już bardzo, bo w roku 1863 oddziały polskich powstańców walczyły z carskimi siepaczami o wolność i niepodległość Polski. Powstańcy kryli się przeważnie w lasach. Oddzielne partie podtrzymywały łączność z dowództwem i między sobą, przez emisariuszy, którzy byli ścigani przez moskali, a ujęci na równi z powstańcami torturowani na badaniach, a potem haniebnie wieszani za to, że kochali Polskę i chcieli Jej wolności. Powstańcom potrzebna była żywność, kule, oręż, ubrania, lekarstwa. Potrzebne były też i pieniądze. Jeden z emisariuszy kasjerów, dostał rozkaz przedostania się do lasów Krymeckich, odnalezienia jednej z partii i wręczenia jej pewnej kwoty pieniężnej. Nim zdołał przewyciężyć

wszelkie przeszkody i stawić się we wskazanym miejscu, powstańców już tam nie było. Pod naporem carskich siepaczy, musieli uchodzić w głąb lasu; a emisariusz na niewielkiej przestrzeni został okrążony przez żołdactwo. Pomimo ścisłej rewizji, przetrząśnięcia i splądrowania całego okrążonego kawałka lasu, emisariusza nie wykryto. Od tego czasu nikt więcej go nie widział. Moskale myśleli, że im uciekł. Powstańcy byli przekonani, że go zabili moskale. Dziś, gdy ścięto usychający, rozłożysty dąb w lesie, w jego wnętrzu wykryto szkielet człowieka i dano znać twemu Ojcu. Ojciec przywiózł te kości do domu i teraz powieźli pochować je na cmentarzu. Są to kości emisariusza kasjera, gdyż w dziupli spróchniałego dębu, w próchnie, znaleziono parę garści srebrnych monet polskich i kilka dukatów. Zagadka emisariusza – kasjera została rozwiązana. Nie mając innego wyjścia, schował się przed siepaczami w wypróchniałej dziupli dębu, której potem nie mógł opuścić. Z kryjówki dziupla stała się grobem i celą tortur, jednak stała się też dobrą powiernicą tajemnicy powstańców. W tym samym roku straciliśmy wielu z naszej rodziny, gdy podrośniesz opowiem ci o nich” zakończył Dziadek. Ogarnęła mnie zgroza i przerażenie. Jak straszna musiała być śmierć tego człowieka i co za okropne katusze siepaczy, jeżeli śmierć głodowa było od nich lżejszą. Od tego dnia często spędzałem szarówki przy kominku. Dziadek opowiadał mi wiele o walce powstańców, o drodze krzyżowej na Sybir, znaczonych polskimi mogiłami. O tym, co znaczy słowo Ojczyzna i jak ją trzeba kochać, a ja łapałem każde Jego słowo. Starłem się w sercu i mózgu przechować je jak relikwię. Wobec siostry Dziuni i reszty rodzeństwa, ja najmłodszy, czułem się starszym, większym i ważniejszym. Przecież Dziadek powierza mi tajemnicę, a ja ją dochowam solennie, jak dąb dochował emisariuszowi. I wyrosnę na prawdziwego, szlachetnego Polaka, miłującego wolność i Ojczyznę i tylko dla niej żyjącego.

Boże Narodzenie.

W domu zakończono przedświąteczne porządki. Przygotowano pokoje gościnne. Oczekiwano przyjazdu gości. W powietrzu pachniało zbliżającymi się świętami, czuć było i wanilię, i cynamon, i inne bakalie. Zima tymczasem rozpanoszyła się na dobre. Śnieg grubą warstwą pokrył ziemię. Staw szklął się gładką powierzchnią lodu. Traktem chyżo mknęły sanie z ludźmi odzianymi w kozuchy. Pomocnik Ojca pan Skibiński pojechał do Warszawy po Ninę i Mulę. Panna Kazimiera przygotowała się też do odjazdu na święta. Parę dni przed Wigilią wrócił pan Skibiński przywoząc panny i dużo pakunków do kancelarii Ojca. Dom ożył, od razu zrobiło się w nim gwarno i wesoło. Siostry opowiadały o pensji, o Warszawie, o wszystkim, co w ciągu kilku tych miesięcy wywarło na nich wrażenie. Ojciec z Mamą pytali Je to o to, to o tamto. Ja słuchałem przyglądając się siostrzom z podziwem. Rano dwudziestego trzeciego grudnia panna Kazimiera ubrana ciepło, okutana w baranicę wsiadła do sanek i odjechała do swej rodziny. Konie z Żytomierza miały wrócić w dzień Wigilii i przywieźć gości na czas świąt. Trochę smutno i tęskno mi było bez panny Kazimiery. Cały dzień, po szklance czystej herbaty i kawałeczku śledzia z ziemniakami spożytymi w południe, błąkałem się po parku, stajniach, oborze, to znów w pokoju dzieciennym budowałem zamki z klocków drewnianych lub układałem z układanek obrazki. Nie mogłem doczekać się wieczoru. Do salonu, tego dnia zabroniono dzieciom chodzić. Ciekawość ciągnęła ku jego drzwiom, a jednak trzymaliśmy się od nich wszyscy z dala. Wreszcie szary zmrok zaczął wypełniać ściany domu. Błękit nieba ciemniał stopniowo. Rozbłysła na nim pierwsza gwiazda, a wujostwa jeszcze nie było. Ojciec, zdenerwowany, coraz to podchodził do okna, starając się w zmroku wzrokiem traktu dosięgnąć, zobaczyć czy nie jadą nasze sanie i za każdym razem odchodził z coraz widoczniejszym rozdrażnieniem. W jadalnym pokoju stół przetrzęsiony sianem, przykryty białym obrusem, ustawiono nakrycia. Przed Ojca nakryciem stał talerz z opłatkami. Wszystko gotowe, wszystko czeka na rozpoczęcie ceremonii wigilijnej, tylko brak gości z Żytomierza. Zły byłem, że wujostwo każą na siebie zbyt długo czekać, raz dla tego, że byłem głodny; po wtóre, ciekawy byłem co jest w salonie; po trzecie, widziałem niepokój Ojca, co mnie też dręczyło. Nie wiem po raz który, podszedł Ojciec do okna i zaczął bębnić palcami po szybach. Tak było już ciemno za oknem, że nie można było widzieć traktu. Lecz nagle pochwycił Ojciec dźwięk jakiś, przestał bębnić po szybie, chwilę jeszcze nasłuchiwał, a gdy przekonał się, że jest to dźwięk naszych janczarów, kazał światło wynieść do przedpokoju i sam tam poszedł na spotkanie gości. Wkrótce wraz z Ojcem weszli

do jadalnego pokoju : wujaszek Józef Jezierski , ciocia Jadwisia, Joasia, Wandzia i Staś. Zaczęły się powitania, po których zaproszono wszystkich do jadalnego pokoju. Matka kazała podawać do stołu. Gdy poza naszą rodziną zebrali się wszyscy domownicy : p. Skibiński – pomocnik Ojca; klucznica p. Kalinowska i panna Tekla - pomocnica Mamy i praktykant rolny, Ojciec wziął talerz z opłatkami i podał go Dziaduniowi. Zaczęła się tradycyjna ceremonia dzielenia opłatkiem, składania wzajemnego życzeń, które błogosławił mały Jezus leżący na wiązce siana, pod snopkiem zrobionym z różnych zbóż. Potem zasiedli wszyscy do stołu i rozpoczęto wieczerę wigilijną. Kto by mógł wyliczyć i spamiętać porządek podawanych potraw i same potrawy ? Wiem, że był obowiązkowy barszcz czerwony z uszkami grzybowymi, szczupak faszerowany, majonez, karp w sosie rodzynekowym, liny smażone, kotlety z ryby, i kompot, i ryż ze śliwkami, i kutia z miodem. Każdą z potraw choć trochę trzeba było spożyć. Mężczyźni zakrapiali rybę wódką, my, dzieci, dostaliśmy po kieliszku wina. Ja końca wieczerzy doczekać się nie mogłem. Odetchnąłem z ulgą, gdy podano ostatnią potrawę i jeszcze nie zdążyłem z nią sprawić, gdy naraz otworzyły się szeroko obie połówki drzwi wiodących do salonu, a jednocześnie popłynęły tony kołedy z pod klawiszy fortepianu „ W żłobie leży, któż pobieży ...”. Wszyscy powstali od stołu i udali się do salonu. Tam od podłogi, do samego sufitu stała piękna choinka (sosna) jarząca masą świeczek, odzwierciedlanych w różnokolorowych bombkach szklanych. Srebrne i złote nici mieniły się tęczą kolorów. Kornety, koszyki z łakociami, figi, jabłka, rożki, sznury koralu z cukierków, owoce czekoladowe i dużo innych słodczy, i moc zabawek najrozmaitszych uginała gałęzie drzewka. Rozbiegły się oczy we wszystkie strony, nie wiedząc na co się patrzeć, czym się zachwycać. Tu pod muchomorem siedzi zadumany krasnoludek, brodę opiera na rękę. Tam święty Mikołaj dźwiga na swych barkach worek z zabawkami. Tu wieloryb z rozwartą paszczą. Tam zając siedzi pod krzakiem nasłuchując pilnie. Wisi dzwonek wydający szklane dźwięki przy poruszeniu gałązki. Są kolibry, papugi, małpki, barwne motyle, i kogut, i baletnice, i stajenka z małym Jezuskiem wśród szeregu aniołów. Nad tym wszystkim, hen u góry, mieni się całą potęgą blasków i kolorów na wierzchołku gwiazda, od której kaskada złotych nici spływa ku dołowi. Cud jeden przepiękny cud, a nie choinka. Stałem długo nie mogąc oczu oderwać od pięknego drzewka. Potem powoli zacząłem go obchodzić dookoła, chcąc wszystko zobaczyć teraz wśród światła mieniącego się i zieleni choinki. Nie zauważyłem nawet, kiedy weszła do salonu cała służba dworska wypełniając go po brzegi. Wszyscy byli tu obecni: i furman Roman ze swym pomocnikiem Nykitką, i gumieny Kościuk, i kucharz Harasym, ogrodnik Aleksander, stary, który jeszcze pańszczyznę pamiętał, parobcy, klucznica, dojarki, dziewczęta dworskie z Paraską na czele, i Trochim z pomocnikiem. Wszyscy tak jak ja, gapili się na drzewko, zerkając jednocześnie w kierunku fortepianu i dużego stołu postawionego obok. Cały stół zavalony był różnymi rzeczami. Były tam i czapki barankowe, i walonki, kożuszki, rękawice, ciepłe chusty, materiały na spodnie i bluzki, chusteczki na głowę i wiele innych rzeczy. Każdy z tych przedmiotów miał swoją kartkę do kogo należy i według nich Ojciec z Matką rozdawali czeladzi świąteczne podarunki, o nikim nie zapominając, każdego czymś obdarzając, zależnie od jego pracy i potrzeb. Każda z obdarowanych jednostek dostawała na dokładkę torebkę ze słodczymi, dziękowała i szła do siebie, chwalić się otrzymanymi podarunkami. Wkrótce w salonie pozostaliśmy sami i wtedy przyszła kolej na nas . Ja dostałem śliczne niklowane łyżwy, komplet przyborów laubzegi, piękną książkę z bajkami, wycinanki i dużo słodczy. Podziękowałem Rodzicom, a ponieważ świeczki na choince, już się dopalały, poniosłem otrzymane podarunki do swojego pokoju, lokując je na krześle koło łóżka. Po czym położyłem się spać, śniąc całą noc o cudach wiszących na choince i otrzymanych podarunkach. W sennym widziadle mknąłem na łyżwach po szklistej, gładkiej powierzchni lodu, jakbym umiał naprawdę na nich jeździć. Następnego dnia zaraz po drugim śniadaniu, całą gromadą wybraliśmy się na staw, gdzie rozpoczęła się nauka jazdy na łyżwach. Ile było śmiechu, gdy nałożywszy łyżwy, ostrożnie człowiek chciał się na nich utrzymać, lecz tracąc równowagę upadał, czasami wstając z guzem na czole, lub mocno stłuczonymi „szklankami”. Ile było radości, gdy po godzinie mozołu stawało się już pierwsze kroki, jeszcze chwiejne, niepewne, ale samodzielne. Jaką rozkoszą było po kilku dniach pędzić po gładkiej powierzchni lodu, aż wiatr w uszach świstał, przewracając się tylko czasami. Wieczorem przyszli kołędnicy. Zapalono świeczki na choince i my wraz z dziećmi wiejskimi bawiliśmy się i cieszyli wspólnie drzewkiem nie czując różnicy stanów, ani wychowania. Dobrze nam było razem. W dzień łyżwy, zjazdy saneczkami z góry. W wieczór, choinka jarząca światłem, łakocie. Nowy Rok przyniósł wraz z otwarciem oczu pełen talerz przeróżnych łakoci z kilkoma srebrnymi monetami. Jak z bicza strzelił

przeleciały święta. Siostry z panem Skibińskim i Lucią Werner odjechały do Warszawy. Poszły konie do Żytomierza odwożąc wujostwo. Przed odjazdem sióstr rozebrano choinkę. Tylko w parku, przed oknami, pozostał śnieżny bałwan – olbrzym, ulepiony wspólnymi siłami, i cisza opustoszałego dworku. Przed kilkoma miesiącami, gdy miała przyjechać moja pierwsza nauczycielka, uciekałem w pola, by jak najdłużej Jej nie spotkać. Teraz chodziłem od okna do okna wyczekując Jej niecierpliwie, lub układałem i przygotowywałem swe książki i zeszyty, szykując je do jutrzejszej lekcji. Czas mijał bardzo powoli, wlokąc się w żółwym tempie. Przed wieczorem, gdy konie zajechały pod ganek, wyskoczyłem na spotkanie panny Kazimiery. Jak cień snułem się za Nią, starając się być w czymkolwiek pomocny. Kładąc się spać, chciałem by noc szybko przeminęła i bym mógł jak najprędzej zasiąść do lekcji ze swoją nauczycielką. Okres świąt Bożego Narodzenia minął jak sen, lecz sen ten miał się jeszcze powtarzać.

Zima.

Pogodne słoneczne dni. Sanki w zawrotnym pędzie mkną z górki. Śnieg milionami promieni lśni brylantami odbijając słońce, skrzypi pod nogami. To znów szklista powierzchnia lodu i świst powietrza w uszach. Przed oczami mkną nadbrzeżne olchy, szumią suchymi liśćmi szuwały i oczerety. To znów do sanek zaprzężone konie kłusują parszcząc ochoczo. Z pod kopyt lecą grudki śniegu w górę. Kłęby pary wyrrywają się z chrap i giną w mroźnym powietrzu, a janczary tysiącami dźwięków skarżą się światu na swą dolę. Siedzę w sankach z panną Kazimierą, okutani baranicą. Ciepło, wygodnie i miło lecieć w przestrzeni stepów Ukrainy równą, bez kresów; białą tam daleko na widnokręgu stykającą się z firmamentem. Śnieg pada rojem płatków pokrywając fartuch, baranicę, czapkę i futerko. Delikatne gwiazdki śnieżynek kładą się miękko jedna na drugą puchowym kobiercem. To znów mroczno i szaro w ścianach mieszkania. Za oknami wieje wiatr z północy. Iglami drobnego śniegu z siłą tłucze o szyby okien, a te jęczą i płaczą żałośnie. Zawodzi wichura w kominie strasząc ludzi swą skargą dziką. Drogi zaspy zanoszą śniegowe, znaczą jedynie tyczki z wiechami wskazując szlak ku wyskakującym z pod śniegu kominom. Wieczory spędzane przy kominku. Opowiadania Dziadka, lub panny Kazimiery bajki opowiedane pod wtór płaczu i skarg zamieci. Każdy dzień kryje w sobie coś nowego. Każdy jest inny od poprzedniego, a ma w sobie tyle piękna, tyle bieli wziętej z tych stepów ośnieżonych. Mijają dni jeden po drugim i zda się, że wczoraj zima rozpoczęła, a dni już coraz dłuższe. Słońko silniej grzeje i w południe, choć mróz mocno trzyma, krople jedna po drugiej ściekają z dachu tworząc wieczorami długie kryształowe sople. A dalej lód mętnieje, białe śniegi pod podmuchem wiatru raptem czernieją nasiąknięte wilgocią, kurczą się i nikną w oczach, coraz to cieńszą powłoką pokrywają ziemię. Na pagórkach zjawiają się czarne łaty, rosną szybko, wygniatają śnieg stopniowo. Dolinami płyną mętne strumyki i potoki, zlewają się w coraz większe rzeczutki, mkną ku stawowi, by lód jego unieść na swych falach, połamać i wraz z nim pomknąć ku wiecznie szumiącym falom morskim. Szumi woda na stawidłach podjętych ręką troskliwego młynarza. Dzwonią skowronki pod niebiosami. Pachnie ziemia wilgocią i budzącym się życiem. Gałązki drzew sztywnieją, rozprostowują się budząc stopniowo ze snu zimowego. Wszystko w koło, jak okiem sięgnąć, i woda szumiąca w stawidłach, i ta z pod śniegu wylaniająca się rola, i dzwoniące w niebie skowronki, i pierwsze przebiśniegi wstydliwie wychylające swe białe dzwonki z pod śniegu; wszystko woła ku nam: wiosna idzie, wiosna idzie. Skończyła się zima na wsi nie nudna i monotonna, a piękna, wesola i czarowna, zawsze inna, przynosząca z dniem każdym nową niespodzianką. Skończyła się zima piękna jak najpiękniejsza z bajek panny Kazimiery. Choć wiosny jeszcze nie ma, to dopiero przedwiośnie, ale zima już się skończyła jak: baśń, jak sen.

Wiosna.

Spienione fale rzeczki unoszą w górę lód, który pęka z hukiem na kawały szumiąc ścieranymi krawędziami chwilę dygocze na miejscu i rusza w pochód ku morzu wraz z mętными falami wezbranej rzeczki. Olbrzymie kawały kry odbijającej białymi plamami na mętnych wodach ścigają się ze sobą, dopędza jedna drugą, zatrzymując w biegu, mocią się ze sobą. I naraz jedna z nich, czy to silniejsza, czy może lepiej przez fale wsparta staje kantem, wylaniając swe obślizgłe cielsko wysoko ponad wodę i z głośnym pluskiem, tworząc kaskady fontann, znów się zapada pogrążając w głębie swą przeciwniczkę. Mkną ku mostom, gdzie czekają na nie lodokoły i tam rozbite, roztrzaskane na mniejsze kawałki siłą prądu zapychane są pod jeszcze mocny lód stawu. Głośny huk pękającego lodu zwiastuje znów triumf coraz to nowych fal wiosennych wód. Niedawno gładka powierzchnia stawu poważna i milcząca zarysowała się szczelinami, w których teraz kotłuje i bulgocze. Przymarzły do szuwarów, oczeretów i tataraków lód szamocze się jak pies na łańcuchu, zgrzyta i trzeszczy, a oderwane kawały kry mkną ku stawidłom odkrywając coraz to większe przestrzenie wody z pod niedawnej lodowej powłoki. Młyn gada swą baśń nieskończoną. A młynarz raz wraz wybiega na groblę, mierzy okiem niespokojnym przybór wody, coraz to nowe podnosząc stawidła. Niebo ołowiane wisi nad światem, brzemienne wilgocią lada moment rozplacze się kroplami deszczu. Trakt rozkisły i grząski, gdzieniegdzie plamą śniegu bieleje. Ziemia napuchła wilgocią miękka i lepka. Zaledwie staniesz nogą, nie znajdując oporu grzęzniesz coraz to głębiej, a gdy ją wyciągniesz, ciągną się wraz z oblepionym mazią błota butem długie czarne sople. Dzień chylił się ku końcowi, gdy spadły pierwsze krople deszczu. Początkowo nieśmiałe, pojedyncze krople, naraz zaszeleściły spadając wesóło gęstwą, bulgocząc w mętnych nurtach rzeki, miarowo wybijając takt po gontach dachu splukiwały pozostałe po roztajałym śniegu sadze i brudy, radośnie dzwoniły o szyby domku. Rozbłysły słońcem dzień, ukazał światu nowe oblicze ziemi, stężałej pod kroplami wczorajszego deszczu: świat nowy, radosny, i młody. Pąki drzew nabrzmiały wiosennymi sokami, lada chwila rozwiną się zielenią listków. Powietrze przesycone ozonem i zapachem kwitnących wierzb. Jar bieli się koziodrą, różowi miodówkami. Gdzie okiem sięgnąć sterczą kiście białe, kremowe i lila wrzosu. Tu bieli się trawka Matki Boskiej, tam złoci się z pod wody wynurzając swą głowę jaskrawy kaczeniec. Coraz to więcej trawy szmaragdowo zielonej pokrywa ziemię częściowo nagą tworząc wraz z kwiatami precudny wzorzysty kobierzec. A ile brzęku pszczoł z kwiatka na kwiatek przelatujących. Gdzieniegdzie, jak meteor przeleci motyl jaskrawy. Wszystko się śpieszy, wszystko dąży w jednym określonym kierunku ku wiośnie, słońcu i życiu, którego dla siebie chce jak najwięcej zagarnąć. Kwiat główkę wyciąga ku słońcu, trawka z nim zawodniczy, motyl kąpie się w jego promieniach, drzewa ku słońcu wyciągają swe ramiona ... A ptaki, te zapomniały, o Boskim świecie. Jedne z nich latają od drzewa do drzewa, od krzaczka do krzaczka wybierając najlepsze zakątki na uwicie gniazd. Inne rozpoczęły budowę znosząc pracowicie słomę, pierze, włosień i gałązki. Te co z zamorskiej wróciły wyprawy i jeszcze nie rozbiły się parami, odpoczywają po przebytej podróży. Wszystkie są tak rozszczebiotane radośnie, tak zajęte swym ptasim życiem i znów nadeszła wiosna, że zda się nic wokół nie widzą. Gdzieś wysoko, wysoko ponad czarnym zagonem w niebie dzwoni śpiewak Matki Boskiej skowronek. Poważnie przeciął szafir nieba, lecący ku rozlewiskom bocian. Na jego spotkanie bije od moczarów rechot żab. Powietrze napełnił piękny aromat znany tak dobrze, a dzisiaj znów tak nowy i miły. Rozglądam się ciekawie, wśród trawnika gazonu, fioletowy fiołek wychylił wonną główkę. Chciało by się go zerwać i umieścić na biurku panny Kazimiery, lecz szkoda dotknąć dłonią, szkoda pozbawić życia kwiatek, który przed godziną rozpoczął swe życie. Biegnę do grządek kwiatowych gdzie ogrodnik odkrywa róże, tam szukam fiołków specjalnie sadzonych. O jaki piękny zapach! Fiołki białe, fioletowe, pełne i nie pełne pasem szerokim pokrywają grządkę, chwila i już bukiet dla panny Kazimiery zerwany, teraz i w Jej pokoju będzie pachniało fiołkami i wiosną. Piękny świat, pięknie się budził do życia, piękne jest i życie samo. Tak chce się żyć i jeszcze raz żyć i wraz z całą naturą piąć się ku słońcu, tam – coraz wyżej i wyżej. Kocham wiosnę, i świat cały, i wieś, i bielone chatki, i pola, i łąki, i las, gdybym mógł, nigdy bym ich nie opuścił.

Pachną jabłonie i grusze strojne kwieciami białymi – różowymi. Delikatne płatki osypują się z wiśni już przekwitających, Pachną hiacynty dumne ze swej krasy, skromne narcyzy wydzielają woń piękną ze swych białych płatków. Upiększają grzędy pyszne tulipany purpurowymi i innymi kielichami pięknych kwiatów.

Powietrze przesycone wonią najpyszniejszą. Ciężkie kiście białego i lila bzu, pochylają się ku lśniącom szybom okien. Jaśminy za chwilę rozsieją swą odurzającą woń, pączki ich lada dzień rozwiną swe płatki. Drzewa pokryte zielenią i kwieciem. W ich rozłożystych konarach, wieczorami chrabąszcze brzęczą i huczą, a z gęstwy krzewów słowiki zawodzą swój trel miłosny, kołysząc do snu wysiadujące samiczki. Ostre melodyjne dźwięki wrzynają się w noc przesyconą pożądaniem, rozkoszą i wiecznym niezaspokojonym pragnieniem czegoś ponad wyżyny najwyższe, wyższego czegoś, świetlnego i szlachetnego. Słowicza pieśń jak poświata księżycy wypełnia powietrze drgające i falujące, rozsypuje się pianą drobną na tysięczne drgania, to potęga głosu przenika aż do mózgu, jednocześnie gładzi delikatnie człowieka, to znów smaga chłostą przepotężną. Ta pieszczota i chłosta pieśni miłosnej daje tyle rozkoszy, tyle ukojenia, że chciałoby się jej słuchać bez końca, bez przerwy, bez wytchnienia. Wieś też podobna dziewczynie odświętnie odzianej. Chaty bielone jakby wyciągnęły się w wyż wśród kwitnących sadów wiśniowych. Wokół nich grządki troskliwie przez dziewczęta strzeżone, nie wymyślne lecz piękne. Są tu malwy, piwonie, boże drzewka i lubczyk, jest rozmaryn, i lilie, i słoneczniki kwiatowe. Są groszki, czarnobrewce, nagietki, i nasturcje. Jest barwinek, są maruny i wiele innych kwiatów, które wieńcem okalają mieszkania. Ulica czysta, wymieciona, z wygodną ławą gdzie niegdzie rzuconą. Ludność cała przy pracy w polu i ogrodach. Tylko did Karpo wyszedł na słońce wygrzać się siedząc na ławie. Kożuch długi rozpięty, na głowie do tyłu zsunięta czapka barania. Siedzi did Karpo, światu Bożemu przygląda się rok setny i rozmawia sam z sobą i uśmiecha się, sam tylko wiedząc do czego. To znów muchy łapie z nudów, lub do pasieki powraca prowadzić z pszczołami długie rozhowory. Działwa wyległa na pastwiska i wygony. Tam czas spędza na pasionce i zabawie. Ich główki konopne złocą się w słońcu, migają bose, opalone nóżęta w szybkim biegu, raz wraz wyrwa się w przestrzeń srebrną gamą i mknie w dal łącząc się porykiwaniem bydła i gęganiem gąsek, beztroski szczery ich śmiech. Zbliża się słońce ku zachodowi. Hen daleko, wstęgą drogi wijącej się wśród zieleni pól powraca czereda z pastwiska wznosząc tumanu kurzu. Z kominów unoszą się smugi dymu. Skrzypią żurawie studzienne. Wieś cicha i pusta, przed godziną pełna gwaru i ruchu, pełna życia. Wśród tupotu kopyt bydła słychać nawoływania gospodyń wabiących, do na oścież rozwartych wrót, swoje kwiat ochy, krasule, wiśniocy, granule, tyse i inne pociechy. Słychać porykiwania krów, kwikot świń, beczenie owiec, nawoływania pastuchów. Oderwane pytania. Lakoniczne odpowiedzi. Skrzyp przeciągły zamykanych wrót i znów wieś zacicha, tylko od strony drogi dobiega początkowo cicha, niewyraźna melodia, coraz to głośniejsza, dumki ukraińskiej śpiewanej wracającą z pracy młodzieżą. We wsi pieśń się urwała i zapanowała cisza, schodząca z mrokiem nocy na usypiającą wieś.

Wyjazd na egzamin.

W pierwszych dniach maja, zajechał powóz zaprzężony czwórką w lic pod ganek. Wyniesiono rzeczy panny Kazimiery. Roman z Mykitą uwiązali je za pojazdem. My wszyscy, już po rannym śniadaniu, zebraliśmy się w salonie, gdzie był urządzone ołtarzyk, odmówiliśmy : „ Pod Twoją Obronę „ i zaczęliśmy się żegnać. Jak zwykle Babcia znakiem krzyża błogosławiła na drogę, inni życzyli pomyślnego zdania egzaminów. Matka coraz to coś dokładała do kosza z jedzeniem na drogę, to znów dodawała Ojcu jakieś nowe polecenie, do szeregu innych poleceń poprzednio zanotowanych. Wreszcie wszystkie ręczne walizki i tłumoki zostały ulokowane, częściowo na koźle i pod przednią ławeczką. Panna Kazimiera usiadła w powozie, ja zająłem miejsce na przedniej ławeczce, Ojciec obok panny Kazimiery. Roman zakreślił batem krzyż nad końmi i ruszyliśmy w drogę. Wieziono mnie na egzamin do Żytomierza. Wiedziałem, że w życiu moim ma nastąpić zmiana, że zdając egzamin będę musiał uczęszczać do rosyjskiego nienawistnego gimnazjum, gdzie w obcej mowie, obcy ludzie będą mnie uczyli, starając się wraz z rozumem wbijanym do głowy, zniekształcić moją duszę dziecięcą, splugawić ją kierunkami anty polskimi. Jadąc na egzamin, nie będąc jeszcze uczniem, postanowiłem jak relikwię zachować w pamięci Dziadka tajemnicę, i iść w życie śladem powstańców , na ich ofiarności krwi i mienia dla Polski wzorować się, i być takim jak oni Polakiem. Konie rwą rześkim kłusem. Siedzę na swej ławeczce. Jęczą dzwonki bezustannie bijąc zimnem metalowego serca. Zatapiam się cały w myślach o Żytomierzu o egzaminach, o tym co mnie czeka, a w duszy toczą walkę: lęk z ciekawością pospołu. Dziś nie ciekawią mnie pola szmaragdowe z kłosującym

żytem, ani chabry świetnie szafirowe, ani purpura maków. Dziś obojętne są dla mnie: mijane wsie, Mała Racza, miasto Radomyśl, Seredynkja, Kiczki, Jurówka, Glinnica. Dopiero w Ewendorfie, gdzie zajechaliśmy, by koniom dać wytchnąć i odwiedzić wujostwo Tadeuszostwo, a też już niewidomą babunię Zubowską, matkę mojej rodzonej Mamusi, opamiętałem się na chwilę, wraz z ciotecznymi siostrami Felą, Alinką i Wandzią biegając po parku, czułem się lepiej zapominając o właściwym celu drogi. Parę godzin skwaru szybko upłynęło i ruszyliśmy w dalszą drogę. Minęliśmy Berezówkę, Starosielce i w lesie państwa Bylinów zrobiliśmy sobie podwieczorek, a koniom popas. Ojciec widząc mnie niezwykle poważnym i smutnym, chciał czymkolwiek rozerwać, rozweselić i dodać otuchy. Postanowiono podczas podwieczorku w lesie, wśród szczebiotu ptaków, że ja pozostanę u panny Kazimiery przez czas egzaminów, konie w hotelu, a Ojciec u wujostwa Jezierskich, rodziców mojej terazniejszej Matki. Jutro rano Ojciec załatwi wszelkie formalności w gimnazjum, dowie się o egzaminie i przyjedzie do nas zawiadomić o wszystkim. Ucieszyło mnie bardzo to postanowienie i napełniło otuchą. Teraz nie bałem się tak bardzo egzaminów, wiedząc, że poza gimnazjum będę cały czas miał swoją nauczycielkę, którą pokochałem serdecznie, za Jej dobroć, łagodność i wyrozumiałość; której wierzyłem, że prowadzi mnie ku dobremu. Przez Studenicę, długą i niechlujną wieś jechałem już z weselszą miną, a gdy ukazały się pierwsze domy Żytomierza z ciekawością rozglądając się po przedmieściu nie chowałem się pod fartuch pojazdu, jak przed paru laty bojąc się, żebym nie musiał całować w pewne miejsce starą Żydówkę przy rogatkach, którą musiał jakoby całować każdy wjeżdżający po raz pierwszy do dużego miasta. Ja wjeżdżałem teraz po raz dziewiąty. Mijaliśmy domy, dzwoniące tramwaje, bogate wystawy sklepowe za połyskującymi taflami szyb, ulice, uliczki, piękne domy i pałacyki, wreszcie niedaleko gimnazjum wjechaliśmy na podwórko mieszkania rodziców mojej nauczycielki. Ojciec wszedł wraz z nami do mieszkania, zapytał, czy nie sprawi zbytniego kłopotu pozostawiając mnie na czas egzaminu. Następnie zniesiono rzeczy panny Kazimiery, prowiant dla nas i moją walizkę, po czym Ojciec odjechał, a ja pozostałem u rodziców swojej nauczycielki, wraz z nią i Jej młodszą siostrą. Ledwie zrobiło się ciemno, położyłem się spać zmęczony drogą i wrażeniami dnia. Zasnąłem od razu, ale noc miałem niespokojną. Budził mnie ze snu stuk kół o kamienie bruku, dalekie trzaskanie zamykanych i otwieranych drzwi, gwar miejski ulicy. Gdy otwierałem oczy niski sufit mieszkania przyłaczał mnie do ziemi. Ciasno i duszno było mi w miejskim mieszkaniu. Nazajutrz przyszedł Ojciec trochę zaniepokojony, przynosząc wieści, że jutro odbędzie się egzamin. Ojciec bał się, że zbyt mało czasu będzie na powtórkę materiału i oswojenie się z miastem, panna Kazimiera ucieszyła się tą wieścią mówiąc, że czym wcześniej zdam, tym lepiej dla mnie. Nie czekając długo dostała moje książki i zeszyty i zaczęliśmy powtórkę materiału, oraz pogawędkę o tym jak zachować się w gimnazjum, jak odpowiadać na pytania nauczycielom i wiele innych, potrzebnych wskazówek udzieliła mi panna Kazimiera. Tego dnia Ojca więcej nie widziałem.

Egzamin.

Obudziłem się bardzo wcześnie. Dom cały jeszcze spał, a ja leżąc w łóżku, czekałem z niecierpliwością, kiedy ruch się rozpocznie. Śniadanie też nie chciało przejść mi przez gardło. Wreszcie doczekałem się Ojca i z nim razem poszliśmy do gimnazjum. Ulica przepelniona była chłopcami dążącymi w tym co i my kierunku. Jedni z nich ubrani w szkolne czarne bluzy i także spodnie, podpasani szerokimi pasami ze srebrną klamrą. Inni w granatowych mundurach sięgających kolan z guzikami srebrnymi i obszytym srebrnym galonem kołnierzem i mankietami. W granatowych czapkach, białych kantach, z denkiem jak patelnia i palmami srebrnymi, złączonymi literami nad błyszczącym skórzanym daszkiem. Szli grupami po kilku rozmawiając wesoło, a każdy przy mijaniu nie omieszkał głośno powiedzieć: „smotri jeszcze odin nowiczok idiot”. Byli też tacy którzy śmieli się i przezywali w oczy wykrzykując na całe gardło „prigotowiszka – kiszka”. Mocno zacisnąłem pięści chcąc z miejsca nauczyć zaczepiających, ale Ojciec powstrzymał mnie w tym zapale mówiąc, że gdy zdam egzamin i będę się dobrze uczyć, to koledzy nie będą przezywać, a szanować i lubić, o ile będę koleżeńskim. Pomiędzy chłopcami w szkolnych mundurkach to tu, to tam, ojciec lub matka prowadzili swoich synów na pierwszy egzamin, tak jak i mnie prowadził Ojciec. Weszliśmy do gimnazjum, gwar podobny do szumu wezbranych wód wiosennych uderzył

mój słuch, przeraził swoją obczyzną, a postać Wasilja, stróża w długim mundurze, z czarną, pasa sięgającą brodą i nasrożonymi brwiami, który jak z pod ziemi wyrósł przed Ojcem, do reszty zbiła mnie z pantafelku. Ojciec wtykając w nastawioną garść Wasilja srebrnego rubla, zapytał się w jakiej sali odbędzie egzamin w przigatawitelnyj klas ? Oblicze Wasilja rozpogodziło się natychmiast. Zrobił się łagodny jak jagnię, zaofiarował Ojcu swe usługi i sam zaprowadził mnie do klasy, a nawet posadził na pierwszej ławie, wywołując zdumienie u reszty chłopaków taką nadzwyczajną łaską. Pozostałem sam, jeden wśród całkiem obcej gromady chłopców nieznanymi niczym wspólnym oprócz egzaminu, nie połączonych ze mną. Gdy zniknął Wasilij zamykając drzwi za sobą otoczyła mnie gromada, wpytując kim jestem, skąd przybyłem, co umiem ? Od razu im odpowiedziałem, że nic im do tego, że o to może mnie pytać tylko nauczyciel. Uwagę ogólną odwróciło ode mnie, paru nowych chłopaków wepchniętych do klasy w których kierunku zwróciła się cała uwaga. Chłopców przybywało i przybywało jak grzybów po deszczu. Już ponad setka zebrała się w klasie, gdy dzwonek ostry, przeraźliwy zadźwięczał na korytarzu i rozpełznął się do najodleglejszych zakątków budynku, ogłaszając rozpoczęcie egzaminów. Szybki tupot nóg, przyciszony szmer w klasach. Potem poważne, ciężkie kroki na korytarzu, trzask otwieranych drzwi i do klasy weszli najpierw, średniego wzrostu, z ryżą, długą gładko przyczesaną brodą p. Żółkiewski, przyszły nauczyciel – wychowawca klasy pierwszej. Za nim p. Preobrażeński, z łysiną krągłą na głowie, z chwacko podkręconymi mocno naczernionymi wąsami, brodą dokładnie wygoloną i wyłupiastymi oczami, uzbrojonymi w binokle w złotej oprawie. Pochód zamykał p. Bułgakow, łysy z paru kosmykami włosów na arbusowa tej głowie, z twarzą wygoloną, obrzmiałą, niesympatyczną, z niespokojnie biegającymi judaszowskimi oczami. Spasły jak tuczony wieprz, z trudem dźwigał swe cielsko na klockowatych nogach. Wszyscy trzej w długich granatowych mundurach, z guzikami błyszczącymi, poważni, groźni i wrodzy, a najstraszniejszy z nich wszystkich to ten ostatni, od którego wprost odpychała jakaś siła niewiadoma. Klasa składała się z samych nowiczków, liczna, ponad stu uczniów, zamarło w niemym oczekiwaniu powstając w ławkach na powitanie tych, co o jej losach decydować będą, a w większości wypadków swą decyzję opierać będą nie na wiedzy zdających, o ile chodzi o Polaków lub Żydów, a na ciężkości własnej kieszeni, wypełnionej srebrnymi rublami i ładnie połyskującymi piątkami w tym okresie nauczycielskich żniw. Nim komisja egzaminacyjna doszła do katedry, zajęła swe miejsca i wypowiedziała saditeś, taka cisza panowała w klasie, że słychać było stukot wszystkich tych serduszek, pod bluzeczkami różnej barwy i różnego kroju, kołaczącymi trwożnie. W oczach malował się strach i nieufność, niema zgroza i lęk przepotężny. Wszystko to tak przygniatało człowieka, że w pierwszej chwili chciałem uciec z klasy na korytarz do Ojca, którego obecność wyczuwałem całą swą istotą i to mi dało częściowe ukojenie, napełniło otuchą, przypomniało, że egzamin zdać muszę. Nauczyciele tym czasem rozkładają swe dzienniki, kładą na stole spisy dzieci, kilka książek. Ołówki i notesy wydobywają z bezdennych kieszeni. Naraz pada pytanie : „ kto iz was wyjdiet na ochotnika” ? Cisza i milczenie, nie ma amatorów. Znowu pytanie „ kotoryj iz was choczet derzat egzamin pierwowym”. Chwila wahania, wstaję ze swego miejsca, wychodzę przed katedrę i kłaniam się zamaszycie. Dobroduszny uśmiech rozświetla brodą twarz p. Żółkiewskiego. Judaszowskie oczy p. Bułgakowa zamigotały zjadliwie. Pan Preobrażeński odezwał się „wot maładec, tak i nado” Przywołali mnie ku sobie i zaczęła się indagacja. Każdy z trzech nauczycieli czuł się w obowiązku o coś pytać. Czuję się w prawie otrzymywać odpowiedzi. Stałem jak w ukropie pamiętając jedynie o tym, że mam odpowiadać głośno, i wyraźnie odpowiadałem na pytania, czytałem po rosyjsku, nie ominęły słowiańskie aż, byki wiedie, głągoł. Następnie rozwiązałem zadanie na tablicy. Zdawało mi się, że trwa to nieskończenie długo, i nigdy nie skończy, i zacząłem żałować, że wyszedłem na ochotnika, gdy p. Żółkiwski powiedział „dawied chwatet s niewo, zaczem, zaczem dalsze muczyit” zapi, i żesał nazwisko imię moje, Ojca dodając. „Stupaj tepier domoj, a w tri czasa uznajesz priniat; illi niet”. Znów szurnałem nogami i wyskoczyłem na korytarz zmęczony, spocony i blady. Ojciec zobaczył mnie, zaniepokoił i zaczął pytać, co się stało. Powiedziałem, że zdałem egzamin pierwszy; na ochotnika, i że kazano o trzeciej dowiedzieć się o jego wyniki. Poszliśmy do panny Kazimiery, której nie umiałem powiedzieć ani o co mnie pytali, ani jaką im dałem odpowiedź. Całej naszej trójce, czas włókił się okropnie. Wreszcie, o godzinie drugiej po obiedzie, poszliśmy wszyscy troje do gimnazjum. Przeszło godzinę czekaliśmy, zanim ogłoszono wynik egzaminu. Zostałem przyjęty do wstępnej klasy. Ojciec dowiedział się, jak długie są wakacje. Załatwił inne formalności i poszliśmy do miasta, gdzie kupił mi bluzę, spodnie pas i czapkę uczniowską z palmami. Ja

tego ubrania, ani czapki, nie włożyłem, czując się świetnie w swoim kapeluszu i lekkiej bluzeczce. Ze sklepu poszliśmy do cukierni na czekoladę z ciastkami, a wieczór spędziliśmy u panny Kazimierzy, którą Ojciec namawiał, żeby u nas spędziła wakacje. Jednak sprawy rodzinne nie pozwoliły Jej skorzystać z naszej propozycji. Nazajutrz rano wyjechaliśmy z Żytomierza, żegnając serdecznie pannę Kazimierę i Jej rodzinę. Gdy minęliśmy ostatni domek przedmieścia i zaśmiały się do mnie łany kłosującego zboża, wraz z ich uśmiechem powrócił dobry humor i apetyt. Poprosiłem Ojca o jedzenie i całą parą zacząłem wcinać bułkę z masłem i suchą kiełbasą. Konie po kilkudniowym postoju, tęgim klusem rwały na przód, a mnie wydawał się bieg zbyt powolnym, tak zatęskniłem do swego pokoju, do stajni, parku, sadu, ogrodu, rzeczki, moich pól ukochanych lasów i łąk. Konieczność zatrzymania się w Ewendorfie dla wypoczynku koni, oddalała chwilę powrotu do domu, więc przez to samo nie sprawiła zbyt przyjemności. Wieczorem byliśmy już w domu, do którego podjeżdżając, włożyłem czapkę uczniowską, by z daleka dać znać o wyniku egzaminów. Nie długo miałem ją na głowie, jednak z przyjemnością zawiesiłem ją na wieszaku. Tak obco w niej się czułem i tak uwierała mi głowę. Nazajutrz, od samego rana pobiegłem witać ścieżki, drogi i dróżki, wszystkie zakątki zaciszne, a z takim zapamiętaniem to robiłem, że omal nie spóźniłem się na obiad.